

Nakładem M. ARCTA w Warszawie

1

MI



ZA
SIEDMIU GÓRAMI

BAŚNIE i KLECHDY

ORYGINALNE i NAŚLADOWANE

wybrał dla młodzieży

KAZIMIERZ KALINOWSKI

z 5 obrazkami kolorowemi

WARSZAWA
NAKŁADEM i DRUKIEM M. ARCTA
1900

Дозволено Цензурою.
Варшава, 16 Мая 1900 года.

ZA SIEDMIU GÓRAMI — U SIEDMIU KARZEŁKÓW.

Córka króla pewnego, zwana Czarnobrewką dla swych dużych, ciemnych, prześlicznych brwi, miała macochę, która jej bardzo nie lubiła i wiele sprawiała przykrości. Była to zła kobieta, pełna pychy i zarozumiałości i bez krzty serca niewieściego. Zdawało się jej także, iż jest najpiękniejszą na świecie i pragnęła słyszeć dniem i nocą, na każdym kroku co do swojej urody tylko pochlebstwa.

A już znieść tego nie mogła, gdy kto na jej dworze odważył się powiedzieć, że mała Czarnobrewka jest ładną panienką. Zazdrość straszna dręczyła królową na myśl, że gdy jej pasierbica wyrośnie, może stać się piękniejszą od niej i podobać się ludziom bardziej, niż jej macocha.

Więc pewnego dnia, gdy z tego powodu królowa wielkim zapałała gniewem, przywo-

łała do siebie strzelca, który był w jej łaskach i rzekła do niego.

— Powiedz mi, czy królewna jest ładna?

— O Czarnobrewkę pytasz królowo? — Mnie się zdaje, że ona jest brzydką!

— Powiedziałeś prawdę, masz za to dziesięć dukatów. Ale ponieważ może przyjść dzień, w którym ludzie powiedzą, że Czarnobrewka jest piękniejszą odemnie, przeto nie mogę pozwolić, by ta dziewczyna pozostawała nadal w moim pałacu, rozumiesz?

— Cóż więc rozkażesz, piękna królowo?

— Trzeba ją wyprowadzić do wielkiego lasu i tam pozostawić, by zginęła...

— To niebezpieczne. Dziewczyna mogłaby przecież spotkać kogo i powiedzieć mu, że jest córką króla, a wtedy każdy przyprowadziłby ją do pałacu.

— A zatem ona musi zginąć. Zabierzesz ją więc do lasu i tam niby przez nieostrożność zastrzelisz ją.

— Jak rozkażesz, królowo!

— Ale ja ci nie dowierzam. Wracając z lasu, na dowód, że ona zginęła, musisz mi na dwór przynieść jej warkocz, rozumiesz?

— Stanie się według twego rozkazu, królowo!

— Ale zrób to wkrótce.

Niedługo potem zawiózł strzelec małą królewnę do lasu, niby to na polowanie na

piękne ptaki. Kiedy już byli bardzo daleko w puszczy, strzelec postanowił spełnić rozkaz swojej pani. Ale zamiast strzelać do dziewczynki, zamierzał ściąć jej głowę dużym nożem myśliwskim, który nosił u pasa.

Już schwycił Czarnobrewkę za włosy i już wyciągnął nóż, zamierzając się na nią, gdy dziewczynka upadła mu do nóg, błagając go o litość.

— Nie zabijaj mnie! Zostaw mnie w lesie, a przysięgam ci, że do pałacu nie powrócę.

W strzelcu sumienie się poruszyło; zgodził się na to, przekonany, iż gdy dziewczynkę zostawi samą w lesie, to za godzinę najpóźniej pożrą ją dzikie zwierzęta. Tymczasem odciął dziewczynce warkocze, żeby je mógł królowej przynieść dla przekonania jej, że dziecko zabił.

Tak też zrobił.

Czarnobrewka pozostała wśród ciemnego, bezludnego lasu, sama ze swemi sierocemi łzami.

Nie wiedząc co z sobą począć, błądziła w gęstwinie leśnej długo, przedzierając się przez cierniste zarośla. Ale kolce nie raniły wcale jej ciała, tak samo jak dzikie zwierzęta nie rzucały się na nią, lecz spoglądając przyjaźnie na nieszczęśliwą dziewczynkę, usuwały się jej z drogi.

Zmierzch zapadł, gdy Czarnobrewka znalazła się przed jakimś małym domeczkiem, który tak się wydawał jej miłym i ponętnym, iż odważyła się zapukać do jego drzwiczek, mniejszych od okien w pałacu jej ojca.

Gdy nikt nie odpowiedział, dzieweczka weszła do środka i zaczęła przyglądać się osobliwościom tego leśnego mieszkania. W całym domku nie było nikogo, ale wszędzie zauważyła ślady, że pokoje były zamieszkane przez istoty ludzkie.

Na każdym kroku widziała niezwykłą czystość i porządek wzorowy.

W jednym pokoiku stał stolik bielutko nakryty, a dokoła niego siedem krzesełek.

— Chyba że tu same dzieci mieszkają — pomyślała sobie Czarnobrewka. — Wszystko, co tu widzę, jest takie maleńkie! Czyj by to mógł być ten domeczek?

Na stole naliczyła tyle nakryć, ile stało krzesełek. Więc było siedem talerzyków większych i siedem mniejszych, również siedem kubeczków, tyleż łyżeczek, widelczyków i nożyków.

— Tu musi stale jadać siedmioro dzieci — wykrzyknęła.

Za chwilę w drugim pokoiku naliczyła siedem łóżeczek, również małych, które rzędem stały przy białej ścianie, tak czystej, jak czyściutką była pościel na każdem łóżku.

— Tu widocznie sypia siedmioro dzieci — rzekła znowu Czarnobrewka.

Ale ponieważ była bardzo głodna i spragniona, więc wróciła do zastawionego stołu, na którym było dużo do jedzenia.

Nie chcąc wyrządzić krzywdy jednemu z mieszkańców domku, zjadła potrosze z każdego talerzyka i upiła po parę kropel z każdego z siedmiu kubków, tak, że prawie nie znać było ubytku jadła i napojów.

Wreszcie bardzo znużona, gdy nie mogła się doczekać powrotu żadnego z domowników, chciała położyć się spać. Ale z siedmiu łóżeczek jedno było za krótkie dla niej, drugie za wązkie i tak dalej. Więc próbowała leżeć minutkę na każdem, dopóki nie znalazła wygodnego dla siebie. Było to zaś siódme łóżeczko, na którem śliczna Czarnobrewka zaraz zasnęła.

Ciemności zupełne ogarnęły cały domek, gdy nareszcie drzwi skrzypnęły i do mieszkania weszło siedmiu właścicieli i mieszkańców leśnego schroniska.

Było to siedmiu karzełków, którzy powracali właśnie ze swej roboty w górach, gdzie kopali złoto.

Każdy z zapaloną latarką zbliżył się do

swego krzesełka i w tej chwili zrobiło się w pokoiku jasno.

Spoglądają karzełki przy świetle i widzą ze zdziwieniem, iż ktoś musiał gospodarować przy ich stole, ponieważ nie wszystko znajdowało się w porządku i na swojem miejscu, jak zwykli byli zastawać każdego wieczora, wracając od roboty.

Więc jeden po drugim pytał zdziwiony.

— Ktoś siedział na mojem krzesełku?

— Kto jadł z mego talerzyka?

— Któż to nadgryzł moją kromeczkę chleba?

— A kto mógł pić z mego kubka?

— Kto używał mojej łyżeczki?

— A mój widelec kto włożył mi w jarzynę?

Zaczęli tedy wszyscy z latarkami biegać po pokoju i zaglądać we wszystkie kąty, ale nie znaleźli nikogo. Weszli następnie do drugiego pokoiku. I tu nie było nikogo.

— A może się kto ukrył w łóżku? — zapytał wtedy jeden z karzełków i odchylił swoją kołderkę, co uczynili też inni za jego przykładem.

— Widocznie ktoś spał na mojem łóżeczku?

— A tu ktoś wyleżał mi dołeczek w pościeli.

Każdy z kolei, zajrzawszy pod kołderkę, znalazł na swojem posłaniu taki dołeczek.

Wtem siódmy karzełek, stanąwszy z latarką przed swojem łóżeczkiem, krzyknął na innych.

— Patrzcie, patrzcie, kto tu leży na mojem łóżku!

Sześciu jego towarzyszów podbiegło, kierując światło swych latarek ku niemu i każdy krzyknął z podziwu na widok śpiącej prześlicznej dziewczynki.

Wszyscy przyglądali się jej uważnie, patrząc z coraz większem zdziwieniem to na siebie, to na śpiącą.

— Nie budźmy tej dziewczynki—rzekł najstarszy—niech się wyśpi do woli.

— Dobrze i owszem — rzekł właściciel łóżeczka, ale gdzież ja będę spał?

— Wiesz, zrobimy tak, rzekł inny. — Ty się prześpisz po trochu coraz na innem łóżeczku, a ten, który ci przez ten czas odstąpi swojego łóżka, będzie czuwał przy tej dziewczynce; tym sposobem żadnemu z towarzyszów nie wyrządzisz krzywdy i sam się wyśpisz.

Jak uradzili, tak zrobili; w ten sposób noc minęła.

Rano, gdy światło dzienne już dobrze zaglądało w okna leśnego domku, zerwała się Czarnobrewka z posłania, wstała ze

swego łóżeczka i zaczęła się po pokoju rozglądać, lecz znowu nie było w nim nikogo.

Pobiegła do drugiej izdebki, żeby zjeść śniadanie u tego samego stołu co wczoraj, ale tym razem zdziwiona stanęła we drzwiach i zawstydziła się wielce, spostrzegłszy z progu siedzących przy stole gospodarzy.

Odrazu zauważyła, że nie są to dzieci, jak przypuszczała, ale pomimo maleńkiego wzrostu, ludzie starsi; więc przeraziła się nieco.

Lecz karzełki przyjaźnie odezwały się do niej.

— Coś ty za jedna, dziewczynko, i jak się nazywasz?

— Nazywam się Czarnobrewka.

— A jakże dostałaś się tutaj do nas?

Wtedy mała królewna opowiedziała im wszystko szczegółowo, dodając w końcu, że już nie może powrócić do pałacu swego ojca-króla, a nawet nie chce.

Na to najstarszy powiedział jej dobrotliwie.

— Pozwalamy ci zostać w naszym domku; nie zbraknie ci u nas niczego, bardzo ci tu będzie dobrze, ale za to musisz nam mieszkania pilnować i utrzymywać je w czystości i porządku; musisz nam gotować, szyć, prać i prowadzić nasze gospodarstwo.

Czy zgodzisz się na to, powiedz nam szczerze, bo nie chcemy cię do tego zmuszać!

— I owszem, zgadzam się jak najchętniej — odpowiedziała zadowolona Czarnobrewka — będę wam gospodarowała.

I została u siedmiu karzełków.

Przychodzili oni tylko na noc do domu, powracając z pracy na posiłek i spoczynek; więc co wieczór musiała dla nich przygotowywać jedzenie na stole i posłać im łóżka. Przez cały dzień zaś była sama. Pomimo to jednak nie nudziła się w odludnem ustroniu, zawsze zajęta jakąś robotą.

Siedmiu karzełków obchodziło się z nią zawsze jak najuprzejmiej, postępując względem niej raczej tak, jak gdyby była ich siostrą, a nie służącą.

Tylko codzień przestrzegali Czarnobrewkę przed jej macochą, zapewniając, że królowa rychło się dowie o tem, iż pasierbica jej jeszcze żyje i wytropi miejsce jej pobytu.

— Pamiętaj, dziecko, nie wpuszczaj tu nikogo, bo nawet nie będziesz wiedziała, w jaki sposób twoja macocha zechce wywrzeć swą zemstę na tobie.

Tymczasem królowa istotnie — jak przewidywały karzełki — niedługo wierzyła w to, że strzelec zabił Czarnobrewkę.

Miała ona bowiem w swojem pałacu zwier-

ciadło czarodziejskie, które zdradziło przed nią bezpieczne schronienie znienawidzonej pasierbicy.

Dawniej, gdy tylko królowa zapytała swego zwierciadła, kto jest najpiękniejszą w kraju niewiastą, za każdym razem widziała w zwierciadle tylko swoją twarz. Później, gdy Czarnobrewka, zanim ją z pałacu strzelec wywiódł do lasu, wyrosła z dziecka i urodą swoją zwracała uwagę wszystkich, dziwne zwierciadło na to samo pytanie królowej dawało już inną odpowiedź. Mianowicie oczom dumnej kobiety ukazywała się w zwierciadle naprzód prześliczna twarzyczka młodziutkiej królewny, poczem dopiero własna twarz złej macochy. Więc nie ona była najpiękniejszą! Wyraźnie zwierciadło mówiło, że piękniejszą od niej jest Czarnobrewka.

W kilka dni po zniknięciu królewny z pałacu ojca, czarodziejskie zwierciadło na pytanie królowej znowu odpowiadać zaczęło w ten sposób, co w ostatnich czasach.

— Jakto — pytała gniewna macocha—czyżby ta dziewczyna jeszcze żyła?

W zwierciadle ukazywała się w odpowiedzi pełna świeżości i wdzięku postać dzieweczki.

— A gdzież ona się kryje? — pytała królowa przed zwierciadłem, w którem, jak

gdyby w odpowiedzi na jej pytanie, zjawiło się siedem małych figurek karzełków.

— Co? u siedmiu karłów jest Czarnobrewka?!

Widzenie w lustrze nie znikało.

— A gdzie mieszkają te karły? — pytała dalej z gniewu drżąca królowa.

W zwierciadle ukazał się domek siedmiu karzełków, ale tak wyraźnie, że królowa, gdyby go miała kiedykolwiek zobaczyć w rzeczywistości, bez wątpienia musiałaby go poznać od razu.

— Gdzież mam tedy szukać tego domku?

Teraz ujrzała w lustrze gęste lasy, a pośrodku nich siedem gór niezbyt wysokich, z których jedna była do drugiej zupełnie podobna. Po za temi siedmiu górami stał w lesie biały domek siedmiu karzełków, a na jego progu siedziała Czarnobrewka, żywa i wesoła.

— Teraz wiem, gdzie ją mam odnaleźć — zawołała królowa — poczekaj, ty przebrzydła dziewczyno, pokażę ja ci, co potrafię.

Tymczasem Czarnobrewka, lubo przestrzegana przez karzełków, nie umiała sobie wytłómaczyć, jakim sposobem mogłaby się macocha dowiedzieć, gdzie ona teraz przebywa; czuła się też w maleńkim domku za siedmiu górami zupełnie bezpieczną i spokojną. Pomimo to, postanowiła sobie w myśl

przestróg swoich dobrych panów, nie puszczać nikogo do domu i drzwi trzymała zawsze zamknięte.

Pewnego dnia około południa ktoś lekko zapukał. Czarnobrewka wyjrzała przez okno i spostrzegła przed drzwiami stojącą jakąś czarną cygankę z mnóstwem świecidełek na rękach.

Kobieta ta zbliżyła się do okna i witając uprzejmie Czarnobrewkę, odezwała się do niej.

— Nie bój się, dziecko, ja nie złodziejka. Wędrownej handlarce możesz drzwi otworzyć, ja tu często bywam, wpuść mnie, to pokażę ci dużo ładnych rzeczy.

Poskoczyła dzieweczka do drzwi i wpuściła cygankę do pokoju.

— Może sobie kupisz, panienko, co ładnego? Paciorki może lub korale, co? Ale prawda, widzę, że nie masz gorsecika, kupże go sobie odemnie, mam śliczny, zielony gorsecik! Tanio go sprzedam.

Ponętna to rzecz była, więc rychło przystała dzieweczka.

Jeszcze wobec cyganki zaczęła się w niego ubierać, co widząc stara, rzekła do niej dobrotliwym głosem.

— Pozwolisz, to ja ci pomogę!

I sama zaczęła na dzieweczce sznurować zielony gorsecik. Sznurowała długo, ściskała

coraz mocniej, aż nagle śliczna Czarnobrewka zachwiała się i — jak kłos sierpem podcięty — upadła blada i sztywna na ziemię.

Wtedy cyganka wyjęła z kieszeni duże, piękne jabłko rumiane i wsunęła je do kieszeni sukienki dzieweczki, leżącej bez czucia; poczem wyszła z białego domku i zniknęła w leśnych zaroślach.

Gdy siedmiu karzełków wróciło wieczorem do swego mieszkania, spostrzegli martwą dziewczynkę, leżącą na ziemi. Straszny żal ogarnął ich na ten widok.

— Co jej się stać mogło? — pytali.

Zaczęli ją cucić, wodą spryskiwać, ale nic nie pomagało.

Wynieśli ją z domu na świeże powietrze i ułożyli na przyniesionej z łóżka pościeli, poczem przy świetle latarek zaczęli przypatrywać się dzieweczce, naradzając się niespokojnie, czy nie dałoby się przywrócić ją do życia.

Aż nagle jeden z nich spostrzegł zielony gorsecik, ściskający jej kibić.

— Nie miała nigdy przedtem na sobie takiego stroju—mówił—wszakże wiemy dobrze, w czem do nas przyszła!

— Pamiętam każdy drobiazg w jej odzieniu! — rzekł drugi.

— Przeto nic innego — mówił trzeci — tyl-

ko ścisnęła się biedaczka gorsetem, który jej ktoś przyniósł.

Jeden z karłów nożem rozciął sznurki zielone i po chwili dziewczynka zaczęła oddychać. Więc jej opiekunowie uradowani cucili ją coraz gorliwiej, aż wreszcie Czarnobrewka odzyskała przytomność.

— Skąd masz ten gorsecik? — spytali ją.

Wtedy opowiedziała im dokładnie, skąd gorsecik pochodził.

— Z pewnością była tu twoja macocha, przebrana za cygankę — odezwał się najstarszy karzełek — strzeż się odtąd, Czarnobrewko, każdej istoty ludzkiej, która do drzwi domku naszego zapuka; królowa powróci raz jeszcze do ciebie w innem znowu przebraniu.

Czarnobrewka przyrzekła pilnować się odtąd i z domu nie wychodzić, ani nikogo do siebie nie wpuszczać.

Tymczasem w kilka dni po odwiedzinach cyganki zauważyła, że w kieszeni jej sukienki znajduje się coś ciężkiego. W pierwszej chwili myślała, iż to jej ciąży klucz od piwnicy; chcąc go wyjąć, sięgnęła do kieszeni ręką i wyjęła... śliczne jabłko.

Nie mogła sobie przypomnieć, kiedy je włożyła do kieszonki, a zresztą nie pamiętała, czy w ostatnim czasie miała kiedy tak piękny owoc; więc domyśliła się, że to pew-

nie jeden z karzełków, chcąc jej zrobić niespodziankę, wsunął jabłuszko do sukni.

— Podziękuję im wieczorem, gdy powrócą, a tymczasem skosztuję jabłuszka.

I zaczęła jeść śliczny owoc... Lecz zaledwie parę razy go ugryzła, upadła bez zmysłów na ziemię.

Wróciły karzełki wieczorem i znów zastały Czarnobrewkę nieżywą na podłodze w pokoiku.

— Otruta, otruta! — zawołał jeden za drugim na widok jabłka nadgryzionego, które leżało obok nieszczęsnej dzieweczki. — Z pewnością była tu znowu jej macocha i dała jej w jabłku śmiertelną truciznę.

Zapłakali żałośnie mali karzełkowie, jak gdyby na zawsze utracili najdroższą siostrzyczkę. Płakali długo, długo, aż wreszcie otarłszy łzy z oczu, postanowili zająć się jej pogrzebem.

Zdziwiło to ich jednak bardzo, że ciało umarłej po dniach kilku nic się nie zmieniło i tak świeże pozostało, jak gdyby dziewuszka żyła. Więc bojąc się grzebać ją w ziemi, włożyli ją do szklanej trumny, a tę umieścili na szczycie najbliższej góry, gdzie las szumiał najciszej, a wonnego kwiecia rosło najwięcej.

Dzień i noc czuwał jeden z siedmiu ka-

rzełków przy trumnie królewny Czarnobrewki. Zmieniali się tak co godzin dwanaście.

To trwało lat kilka, a przez ten czas oni ciągle żałowali i patrzyli ze smutkiem na śliczną dzieweczkę nieżywą.

Aż pewnego dnia jakiś królewicz, będąc na łowach w tych lasach, stanął zdziwiony przed szklaną trumną i spytał karła, coby to znaczyć miało?

Opowiedział mu karzeł całą historję królewny.

Wówczas młody królewicz oświadczył.

— Zabiorę trumnę z ciałem Czarnobrewki na zamek mego ojca i ustawię w królewskich grobowcach.

Zgodziły się na to karzełki pod warunkiem, że i nadal kolejno czuwać będą przy trumnie.

Wzięła tedy służba królewicza na ramiona szklane mieszkanie dzieweczki.

Gdy z trumną schodzono z góry, przy silnem wstrząśnieniu z gardła królewny wypadły dwa kawałki jabłka.

Naraz Czarnobrewka, otworzywszy oczy, spojrzała.

Królewicz ogromnie się uradował, gdy ujrzał królewnę żywą i zdrową.

A karzełki skakały z radości — jak małe dzieci.

— Otwierajcie prędko trumnę! — wołał do służby królewicz.

Kiedy trumnę otwarto, położywszy ją na ziemi, wstała Czarnobrewka i wyszła ze swego szklanego mieszkania.

Powitał ją królewicz radośnie i prosił, by mu pozwoliła zawieźć się do jego ojca, który ją chętnie przyjmie za swoją synowę.

— Nie odmówisz mi swej ręki, Czarnobrewko? — pytał ją królewicz.

— Jesteś moim wybawcą, więc nie śmiem odmówić. Zgodzę się, lecz pod warunkiem.

— Pod jakim? Spełnię każdy!

— Pod warunkiem, że z sobą zabierzemy tych poczciwych karzełków. Widzisz, królewiczu, jak oni się cieszą, że ja żyję!

— Ależ i owszem, zabierzemy wszystkich siedmiu.

Wtem jakiś ptaszek przyfrunął, schwycił w dziobek kawałki jabłka i odleciał.

Królewicz zaś zawiózł na koniu Czarnobrewkę na zamek swego ojca i przedstawił ją jako swoją narzeczoną. Starzy rodzice królewicza bardzo się z tego wyboru syna ucieszyli i w jakiś czas potem wyprawili huczne wesele, na którem najlepiej bawiło się siedmiu uszczęśliwionych karzełków.

Naraz rozeszła się wiadomość, że macocha Czarnobrewki umarła, zjadłszy zupę jabłczaną. To właśnie ów ptaszek spuścił

ów zatruty kawałek jabłka w talerz królowej, gdy jadła jabłczankę i to otruło królowę.

Tym sposobem zginęła zawzięta nieprzyjaciółka Czarnobrewki, ona zaś odzyskała tron i królestwo swego ojca, na którym długo i szczęśliwie ze swym mężem panowała. Poddani bardzo ją kochali, a siedmiu karzełków zrobiła swemi doradcami.

GWIAZDKI JAGUSI.

Było sobie dziewczątko małe, któremu ojciec umarł, a wkrótce i matka za nim poszła, zostawiając małą sierotkę samą na świecie. Nie miała biedna dziecina ani izdebki ciepłej, gdzieby skryć się mogła przed słotą i przed zimnem, ani łóżeczka własnego na noc; wreszcie, gdy czuła się głodną, brakło jej nawet kawałka chleba; to też tylko niekiedy coś niecoś dostawała od litościwych ludzi.

— Biedna Jagusiu — mawiano do niej — więc ty już nic nie masz?...

— A mam sukieneczkę jedną na sobie i koszulkę jedną — skromnie odpowiadało dobre, ciche dziewczątko, chodząc polem i lasem od wsi do wsi i polecając się w modlitwie opiece Boga, bo często też napotykało ludzi twardego serca, którzy nie chcieli pomódz sierotce.

Kiedy raz wyszła z chaty jakiejś dobrej kobieciny, od której dostała kromkę chleba na dalszą drogę, spotkała starego dziadka-żebraka.

— Moje dziecko — rzekł on do dziewczki — zlituj się nademną, głodny i chory jestem, już dwa dni nic nie jadłem, daj mi co jeść...

Jagusia zaraz podała żebrakowi swój mały posiłek, jaki miała, nic sobie nie zostawiwszy.

Wkrótce spotkała dziecko maleńkie.

— Co ty tu robisz na dworze w taką niepogodę? — spytała Jagusia dziecka.

— Idę do domu, ale mi zimno w głowę na deszczu, a nie mam chusteczki, żeby głowę zakryć.

Jagusia bez żalu odwiązała własną chustkę z głowy i okryła nią główkę dziecka.

Nazajutrz zobaczyła na polu dziewczątko małe, nie większe od niej, a bardzo biedne, które w jednej koszulinie trzęsło się z zimna. Na ten widok żal się zrobiło Jagusi. Zdjęła z siebie spódniczkę i oddała biednej dziewczynie, sama otulając się tylko w chustkę, którą miała na plecach.

Ale tego samego dnia jeszcze okryła tą ostatnią swoją ciepłą chustką i inne dziecko, które zobaczyła trzęsące się z zimna, w łachmankach, dziecko żebraczki.

— Masz chustkę — rzekła do niego Jagusia — okryj się — i otuliła nią drżące biedactwo.

Została teraz bosa—w jednej koszulinie.

Szła właśnie przez las, gdy noc zapadła. Wtem z krzaków usłyszała ciche jęki, więc po ciemku zaczęła nawoływać i szukać w gęstwinie. Coby to być mogło?... myślała sobie. Szukając znalazła wreszcie znowu jakieś dzieciątko na trawie, leżące i płaczące. Spytała więc.

— Skąd ty jesteś, maleństwo, i co ci się stało, że tak leżysz samo?

Dziecko było nagie, chude i strasznie zbiedzone, nawet bez koszulki... Widocznie ktoś je tu w lesie zostawił. Jagusi łzy stanęły w oczach.

— Musiało samo wyjść z domu i tu się zabłąkało, albo może matka jego zachorowała i leży gdzie w pobliżu.

Trzeba mu pomódz — pomyślała sobie — nikt mnie nie zobaczy, mogę zdjąć koszulę, muszę to dziecko przyodziać...

Tak też zrobiła i wyniosła dziecko na skraj lasu, aby przechodzący zobaczyli je.

A kiedy została sama, nic już nie mając na sobie, nagle spostrzegła, że z nieba sypią się na nią gwiazdy. Zadrżała, pewna, że ogień tych gwiazd spali las i ją wśród lasu.

Ale chociaż gwiazd spadło mnóstwo na ziemię, nie zapaliło się od nich ani jedno drzewo; gwiazdki nie piekły, nawet nie były gorące, a wyglądały jak duże, okrągłe blaszki srebrne.

Więc uspokojona Jagusia nazbierała z ziemi trochę tych błyszczących gwiazdek i przyjrzała się im uważnie.

— Jeszcze nigdy nie widziałam takich blaszek... Jakie one ładne!...

Wtem ujrzała idącą lasem starą kobiecinę.

— Pewno szuka tego dziecka, które ja znalazłam, ale jestem naga i nie mogę się jej pokazać—pomyślała sobie i co rychlej ukryła się przed nią w gęste krzaki.

Zauważyła to kobieta i zawołała na Jagusię.

— A czegóż to się tak przedemną kryjesz? Coś ty za jedna?

— Sierota jestem—odparło dziewczątko.— Nic złego nie zrobiłam nikomu, ale kryć się muszę, bom nieprzyodziana...

— A gdzież to podziałaś swoją koszulinę?

Wtedy dziewczynka z poza krzaków opowiedziała starej kobiecie, jak się wyzbyła z wszystkiego, co miała na sobie, by pomódz jeszcze biedniejszym od siebie. A potem dodała, że w lesie padały gwiazdki błyszczące z nieba i że ona uzbierała

ich trochę, lecz nawet nie miała w co je schować...

— Byłabym więcej zebrała, bo jest ich tu moc wielka, lecz nie mam w co je schować. Możeby się komu takie blaszki przydały i może dałby mi kto za nie przynajmniej koszulę... Tylko z tem bieda, widzicie, że nie mogę do wsi pójść z niemi, póki jestem tak nieprzyodziana...

— Pokaż no te blaszki,—rzekła jej kobiecina.

Dzieweczka podała jej parę blaszek, a kobieta, przyjrzawszy się im uważnie, zakrzyknęła.

— Toć to prawdziwe talary!

Popatrzyła dziewczynka na kobietę zdziwiona, lecz nie zrozumiała, coby to były talary, bo nie wiedziała, że są jakie talary na świecie.

— Daj mi dziecko kilka tych blaszek, a ja ci dam za nie koszulę, spódnicę i chustkę, żebyś miała w co się przyodziać. Mam to wszystko w zawiniątku, bo niosłam to do swojej córeczki, lecz kupię jej inne ubranie za twoje talary... Ot masz tu jeszcze i fartuch, nazbieraj sobie dużo tych blaszek i zanieś to do proboszcza, a ksiądz dobrodziej powie ci, co masz z tem robić!

Wtedy Jagusia nazbierała jeszcze tych talarów, ile ich tylko znalazła i poszła do księdza proboszcza do swojej wsi.

Ksiądz kazał jej Bogu podziękować za nagrodę, która ją spotkała za jej dobre serce. Umieścił ją zaraz u jednej dobrej kobiety, a potem kazał ją uczyć w szkole.

Dziewczynka wyrosła i była dobra i pracowita, a wszyscy ją lubili. Zawsze pomagała biedniejszym i nieraz ich obdzielała sukienkami własnej roboty.

Potem za talary schowane odkupiła chatę, w której kiedyś z rodzicami mieszkała, drugą wybudowała dla biednych sierot opuszczonych i opiekowała się niemi. Żyła długo szczęśliwa, karmiąc i odziewając ubogich; ci przychodzili do niej w każdej potrzebie, nawet z dalekich stron i błogosławili dobrą dzieweczkę.

CZERWONY KAPTUREK.

Szkoda, żeście nie znali Halki!

Lube to było dziewczątko, wesołe, zawsze uśmiechnięte, dla swych zalet dziecięcych przez wszystkich kochane, a odważne, jakby chłopak.

Mieszkała Halka w miasteczku, gdzie jej matka miała nieduży, ale ładny domek.

O pół godziny drogi od miasta, za lasem, stał maleńki dworek w ogródku, należący do babci Halki. Dziewczynka chodziła też często z matką do babuni, lub nawet sama, ścieżką przez las.

Babcia za każdym razem cieszyła się z odwiedzin Halki, a kochała swą wnuczkę nad wszystko—za każdym też razem obdarowywała ją rozmaitemi upominkami i przysmakami.

Nadchodziły imieniny Halki, babcia więc chcąc wnuczkę swą obdarzyć jakim upomin-

kiem, uszyła dla niej czerwony kapturek na głowę. Halka zawsze się w ten kapturek ubierała i tak ładnie w nim wyglądała, że odtąd wszyscy w miasteczku nazywali dziewczynkę Czerwonym Kapturkiem.

Pewnego razu, w pogodny poranek letni, matka posłała Halkę do babci, dając jej w koszyczku butelkę świeżo usmażonego soku malinowego, kilka jabłek i pierników.

— Ucałuj babcię odemnie i poproś, żeby spróbowała soku, a także poczęstuj ją jabłkami i piernikami, które tu masz w koszyku.

— Dobrze, mamo, a czy mogę po drodze nazbierać poziomek dla babci?

— I owszem, tylko już nie wiele ich znajdziesz, bo pora poziomek już się kończy. A pamiętaj, żebyś od ścieżki zanadto nie oddalała się, bo mogłabyś zabłądzić w lesie.

— Może mama być spokojną, ja już dobrze znam drogę do babci.

I poszła Halka z koszyczkiem przez las zbierając po drodze poziomki, których rzeczywiście już mało znajdowała w trawie. Szukając ich coraz dalej, odbiegła od ścieżki i zagłębiła się w las.

Wtem ujrzała między drzewami wilka. W pierwszej chwili przeraziła się, ale uspokoiła się widząc, że wilk spokojnie, jak pies, zbliżył się do niej, kręcąc ogonem.

Przystanęła zatem.

Wtem wilk odezwał się do niej głosem ludzkim.

— Dzień dobry ci, Czerwony Kapturku!

— Dzień dobry ci, wilku — odpowiedziała Halka zdziwiona.

— Dokąd panienka śpieszy tak wcześnie?

— Do babci...

— A gdzież mieszka twoja babcia?

— Niedaleko za laskiem, w dworku pod lipami, wiesz, gdzie taki śliczny ogródek.

— A czy babcia w domu jest sama?

— Zawsze sama, mój wilku!

— A czegóż ty szukasz w trawie?

— Poziomki zbieram dla babuni, ale już ich bardzo mało w lesie.

— Mało powiadasz?... To idź jeszcze trochę dalej, szukaj tam, za temi drzewami, a znajdziesz ich wiele; tam widziałem mnóstwo, i to bardzo ładnych.

— Dziękuję ci, wilku! — rzekła Halka.

— Do widzenia, Czerwony Kapturku.

Halka poszła za radą wilka zapomniawszy o przestrodze matki, aby się nie oddalać od znanej ścieżki. Zbierając poziomki, myślała nad tem, jak grzecznym był dla niej wilk, o którym mówiono jej zawsze, że niebezpiecznie jest spotykać się z nim w lesie.

Tymczasem wilk, pożegnawszy Czerwony

Kapturek, pobiegł co prędzej wskazaną mu przez Halkę drogą do dworku babci.

Drzwi były zamknięte, wilk więc zapukał.

— A kto tam? — spytała babcia.

— To ja, babciu, twoja wnuczka — odpowiedział wilk, piszcząc i starając się mówić głosem, podobnym do głosu dziewczynki.

— Ach, ty, Czerwony Kapturku! Chodź, chodź, dziecko, twoja babcia dzisiaj trochę słaba i leży w łóżku.

— A któż mi otworzy?

— Drzwi nie są na klucz zamknięte, więc tylko naciśnij klamkę, a otworzą się.

Wilk podniósł łapę, uderzył nią o klamkę i wpadł do izby przez drzwi otwarte.

Zaraz poskoczył wprost do łóżka i zanim staruszka zdołała krzyknąć na widok drapieżnika zamiast wnuczki, już ją schwycił z całej siły i połknął czemprędzej, jakby jaką owieczkę porwaną z pastwiska.

Musiała mu babcia smakować, bo się wilk oblizał po tak pożywnem śniadaniu. Lecz pomimo to, żarłok zaraz pomyślał o obiedzie.

— Wnuczka będzie mi także smakowała... Żeby mi się tylko udało dostać ją tak łatwo, jak babcię...

Wiem, co zrobię! Położę się do łóżka, i kiedy nadejdzie Czerwony Kapturek, będę

udawał chorą babcię, żeby się dziewczynka mnie nie przelękła. Tak będzie najlepiej!...

Więc co rychlej przywdział czepek babuni i położywszy się do jej łóżka, nakrył się kołdrą aż pod brodę.

Przez ten czas Halka błądziła długo po lesie, zanim odnalazła ścieżkę.

Wreszcie przyszła do dworku babci pod lipami.

Znalazłszy drzwi otwarte, weszła do pokoju i postawiła przy oknie koszyczek z butelką soku, jabłuszkami, piernikami i garnuszkiem poziomek, poczem zbliżyła się do łóżka.

— Dzień dobry babci — rzekła — co babci jest, spytała, czy babcia dzisiaj chora?

Ale z poduszek odezwało się w odpowiedzi tylko jakieś warczenie.

Zdziwiona mocno Halka, przystąpiła bliżej, przypatrując się głowie, wystającej z pod kołdry. Wydała się jej ona zupełnie odmienna niż u babuni.

— Babciu!—zawołała—czemu babunia ma takie duże uszy?

— Żebym cię lepiej słyszała—odpowiedział jej gruby głos z łóżka.

— A czemu babcia ma dziś takie duże oczy?

— Żebym cię lepiej widziała.

— Babciu! Ja cię poznać nie mogę, wy-

glądasz dziś inaczej, niż zawsze. Dlaczego masz tak ogromne usta?

— To ty nie wiesz na co? Żeby cię zjeść!

I w tej samej chwili wilk wyskoczył z łóżka i rzucił się żarłocznie na przestraszoną Halkę. Ale zaledwie zdołał zębami zerwać jej z główki czerwony kapturek, już dziewczynka jednym skokiem znalazła się na murku przy piecu. Wilk ze złością zwrócił się ku niej i stanąwszy na tylnych łapach, wspiął się tak wysoko, że jej oddarł kawałek spódniczki. Lecz Halka znalazła jeszcze dość czasu, by wdrapać się wyżej na piec, gdzie usiadłszy, zawołała uspokojona.

— Teraz już mi nic nie zrobisz, wilku — ale gdzie może być moja babcia? Babciu! babuniu! Chodź na pomoc twojej wnuczce, bo mnie wilk zje.

Ale nikt na jej wołanie nie odpowiedział.

Tymczasem wilk w złości drapał mur, chcąc dosięgnąć dziewczynki.

Wtem Halce przyszło na myśl, iż skoro zastała wilka leżącego w łóżku babci w pustej izbie, to widocznie ten żarłok musiał zjeść babunię; przeraziła się tem okropnie i zaczęła płakać.

Wtem dało się słyszeć zdaleka szczekanie psa. Wilk, jakby tem spłoszony, w jednej chwili wybiegł za drzwi chaty.

— A poszedłeś sobie, ty brzydki żarłoku! — wołała Halka - Czerwony Kapturek z pieca i zeskoczywszy na ziemię, uspokojona, że już wilk nie wróci, zaczęła szukać babci.

Koło łóżka znalazła strzępki poszarpanych sukni babuni i wtedy rozpłakała się serdecznie.

— Zjadł, zjadł wilk moją babunię! Tylko strzępki zostały z jej sukni. Niema mojej kochanej babci!

I łzy gorące płynęły po twarzyczce dziewczynki; usiadła zasmucona przy łóżku.

Naraz usłyszała jeszcze głośniejsze szczekanie psa, jakby tuż blizko dworku babci, i już chciała wstać, żeby przez okno wyjrzeć, co to za pies tak szczeka, bo wiedziała, że babcia psa nie miała — gdy przez drzwi wskoczył do izby wilk z powrotem, a zobaczywszy Halkę stojącą w pokoju, w oka mgnieniu połknął dziewczynkę.

Pozostał z niej tylko czerwony kapturek, który w chwili, gdy ją wilk chwytał swemi zębami, spadł jej z główki i leżał teraz na ziemi przed wilkiem. Tymczasem wilk z radości skakał po pokoju ciągle, mając na łbie czepek babuni.

Wtem szczekanie psa dało się słyszeć tuż za drzwiami.

To syn babci, a wuj Halki, młody myśliwy, szedł ze swoim psem w odwiedziny do

dworku pod lipami. Gdy Czerwony Kapturek wskoczył na piec, a zdala dało się słyszeć szczekanie, wtedy właśnie wilk wybiegł z izby, chcąc uciec, lecz zobaczywszy z podwórka strzelca i strzelbę w ręku jego, czmychnął z powrotem do dworku, żeby się schować przed strzałem. Że zaś w izbie znalazł Halkę, która myślała, że on już nie wróci, zrobił więc sobie zaraz obiadek z dziewczynki.

Teraz jednak odpokutował i za śniadanie i za obiad! Bo myśliwy, wszedłszy do dworku, spostrzegł nieproszonego gościa i zaraz od progu strzelił, trupem kładąc wilka.

— Mój Boże! — zawołał myśliwy — co tu się stało, że nikogo niema! Ależ ten drapieżnik musiał pożreć babunię, bo taki gruby, a na łbie jego widzę czepek staruszki! I co gorsza... zjadł pewnie i Halkę, bo na ziemi leży jej czerwony kapturek. Ach! to okropne! Ale się zaraz przekonamy.

Tymczasem pies, jakby przewąchawszy, że już niema ani jego starej pani, ani jego panienki młodziutkiej, które go tu zawsze dobrze ugościły i nakarmiły smacznem jedzeniem, wył żałośnie.

Strzelec rozpruł natychmiast brzuch wilkowi i ku wielkiej swej uciesze wyciągnął z niego naprzód wnuczkę, potem babcię. Obie żyły jeszcze, ale były omdlałe i gdy-



by to ocalenie opóźniło się jeszcze trochę, byłyby się w wilku podusiły.

Strzelec ocucił je wkrótce, i o dziwo! obie wkrótce przyszły do przytomności.

Co to za radość była teraz w dworku pod lipami, to trudno opisać.

Wszyscy troje całowali się i ściskali nawzajem.

Babcia objaśniła, jak to wilk mówił do niej przez drzwi, jak potem wpadł do izby i zjadł ją.

I Halka opowiedziała babci i wujowi, jak to spotkała się z wilkiem w lesie i rozmawiała z nim w drodze; jaką potem miała z nim przeprawę, gdy zamiast babci zastała go w łóżku i w czepku babci; jak się przed nim broniła na piecu i jak wreszcie wilk zjadł ją, gdy zeskoczywszy z pieca, płakała za babcią.

A wtedy babunia, całując ją w czoło, rzekła poważnie.

— Widzisz, moja Helciu! zawsze mamę słuchałaś grzecznie, a dziś zapomniałaś o jej poczciwej przestrodze, by nie oddalać się od prostej ścieżki i nie błądzić po lesie. Niechże to będzie ci nauką na całe życie!

KRÓLEWICZ FIJOŁEK NA WOJNIE.

Przed wiekami w pewnej krainie panował stary król, który całe życie spędzał poza domem na bojach.

W domu tymczasem królowa wychowywała syna, młodziutkiego królewicza Fijołka, przysposabiając go do przyszłego panowania nad ludem swoim. Delikatne to było chłopię ten królewicz, w puchach wzrosłe pod okiem troskliwych piastunek, które nań chuchały, niby na drobny kwiatuszek. Za piecem mu było siedzieć, nie ruszać kiedyś na wojnę!

Przeprowadziwszy szczęśliwie jedną wojnę, wrócił stary król, lecz wkrótce znów wybierał się na nową, gdyż niespokojny sąsiad znowu napadł na jego ziemię i mnóstwo ludu pobił.

— Tym razem syn nasz pójdzie ze mną na wojnę — rzekł do żony.

— Zmiłuj się, mężu — odpowiedziała z płaczem królowa. — On taki wątły, czy będzie mógł znieść trudy wojny?

Chłopczyk prosił także, aby go ojciec w domu zostawił.

Nie pomogły płacze ani matki, ani syna.

— Wstydź się, delikaciku jakiś! — wołał król, śmiejąc się z płaczącego młodzieniaszka. — Czy niedołężną babą chcesz być, czy mężczyzną?... Dalej na koń!

Więc królewicz pożegnał się z matką, która go czule uściskała, błogosławiąc na drogę. Potem wsadzono królewicza na siodło i pojechał z wojskiem na krwawy bój za rzekę, za las, hen... w góry.

Król chciał zahartować syna w surowej szkole i wojownicy mieli przykazane obchodzić się z królewiczem tak samo, jak z prostym żołnierzem.

Więc kiedy rozłożono się obozem pod lasem, musiał syn królewski wśród nocy czuwać pospołu z innemi żołnierzami, którzy pokładli się przy ognisku.

Młodzieniaszek nie był przyzwyczajony do tak niemiłych wyziewów, jakie był zmuszony tutaj wąchać. To też rychło zrobiło mu się słabo. Królewicz zemdlał...

Przerazili się tem inni żołnierze i co prędzej wynieśli nieprzytomnego Fijołka od ogniska daleko; ułożyli blade, prawie mar-

twe chłopię na wilgotnej murawie na skraju lasu, poczem zaczęli biedaka cucić wodą...

Aliści nic nie pomagało. Królewicz nie otwierał oczu, bez zmysłów leżąc na zielonej trawie.

— Oj źle! — mówili starsi rycerze. — Możeby pójść do króla, bo królewicz wygląda jak nieżywy?...

Kiedy tak wszyscy trwożyli się o życie chłopięcia, nagle uczuli jakąś przyjemną woń, która rozchodziła się w powietrzu ponad murawą.

— Co tu tak pachnie? — pytali jedni drugich zdziwieni. Ale też zaraz zauważyli, że dziwny ów zapach musiał poczuć i królewicz, który widocznie pod wpływem tej silnej woni oprzytomniał i otworzył oczy ku wielkiej radości towarzyszów.

Poskoczyli żołnierze w trawę szukać ziół cudownych, których woń uzdrowiła królewskie dziecko i znaleźli drobne, niepokaźne kwiatuszki, skromnie kryjące swoje główki wśród zieleni. Od nich to wionęła po murawie owa woń, one to wróciły życie królewiczowi.

Więc każdy nazbierał pęczek kwiatuszków i przypiął sobie do zbroi.

Tymczasem królewicz już wesoło rozmawiał ze starszemi towarzyszami rycerskiej wyprawy, jakby mu się nigdy nic nie stało.

Woń kwiecia tyle mocy wlała w duszę młodzieniaszka, że naraz stał się żołnierzem i nie mdlał już po trudach wojennych, gdy hufiec w dalszą ruszył drogę.

Wojna trwała jeszcze kilka miesięcy, póki rycerstwo królewskie nie pobiło wroga do szczętu.

A królewicz Fijołek ciągle trzymał się dzielnie — tak iżby go teraz matka rodzona, królowa na zamku, nie była poznała, gdy harcował na siwym rumaku z błyszczącą szabelką w ręku.

Kiedy rycerstwo ostatnią bitwę zwycięską toczyło, królewicz był w szeregach i sam do męstwa zachęcał żołnierzy.

Ujrzawszy to król, ucieszył się bez miary i syna swego po walce serdecznie przycisnąwszy do piersi, wobec całego wojska na rycerza pasował.

— Jakże ci jest? — pytał go król.

— Dobrze mi jest, ojcze mój i królu, dość ci powiedzieć, że mi się podoba na wojnie! Tylko mi żal tylu ludzi poległych i tylu ranionych.

Wtedy towarzysze Fijołka pokazali królowi kwiecie, którego woń dziwna a silna tak odmieniła młodzieńca.

— A widzisz, chłopcze, teraz już nie nazwę cię starą babą, lecz rycerzem. Trzymaj mi się dzielnie!

— A pojadę drugim razem z rycerstwem na wojnę?

— Pojedziesz, każdym razem pojedziesz!

Wracali więc wszyscy z wojny do swego kraju, a na czele jechał król i obok niego młody królewicz w zbroi rycerskiej.

Przywieźli też rycerze mnóstwo kwiecia pachnącego, które syna królewskiego tak uzdrowiło i delikatne chłopię tak odmieniło. Pokazując je królowej i innym, opowiedzieli, jako u stoku gór pod lasem znaleźli te kwiatki, nigdzie nie widziane, a takie ładne.

Wtedy królowa na oną pamiątkę nazwała je fijołkami od imienia królewicza — i kazała pielęgnować w ogrodzie zamkowym, skąd rozpowszechniły się po całym kraju.

JAŚ I MAŁGOSIA.

Pewien drwal żył w wielkiej nędzy ze swą żoną i trojgiem dzieci. Mała Małgosia i trochę od niej starszy Jaś nieraz przez dzień cały nie mieli co jeść; to też matka rozpaczała, co począć w biedzie, ojciec bowiem od długiego czasu nie miał zarobku.

— Słuchaj — mówiła biedna kobieta do męża pewnego wieczora, gdy dzieci poszły spać — ja już nie mogę dłużej patrzeć na te dzieci głodne. Poradź co przecież!

Ale drwal nie umiał znaleźć rady.

Rozmowę rodziców słyszał Jaś, który jeszcze nie zasnął, ale nie zdradził się niczem przed matką, ani przed ojcem; tylko rano zaczął mówić o tem ze swą siostrzyczką.

— Wiesz co, Małgosiu?

— Co, mój Jasiu?

— Rodzice nie mogą sobie dać z nami rady.

— Jakto, czyż my im tak dokuczamy?...

— Nie, ale wiesz, że w domu wielka bieda, ojciec i matka ledwie sami mają co jeść, a muszą jeszcze dbać o nas i dla nas pracować, żeby nas nakarmić.

— Oj, to prawda, mój Jasiu! Lecz cóż zrobić? Gdybyśmy to mogli już zapracować na siebie, byłoby inaczej, ale i ty mały i ja tak samo — jeszcze nic sami nie zarobimy; zresztą, gdzież pójdziemy?... Oj, bieda, bieda!

I dziewczynka rozpłakała się.

— Nie płacz, Małgosiu! Spróbujmy na to poradzić.

— Ale jak?

— Nie będziemy ciężarem dla rodziców. Pójdziemy sobie z domu oboje.

— Dokąd?

— Do karzełków w lesie. Przystaniemy do nich na służbę. Chcesz tego?

Małgosia płakała, lecz wreszcie powiedziała.

— Dobrze, mój braciszku; pójdziemy. Może to będzie i dobrze.

Wkrótce matka dała im po kawałku ostatniego w domu bochenka chleba, mówiąc.

— Więcej dać wam nie mogę, bo już nic nie mam; musicie czekać do wieczora, aż ojciec powróci, może dzisiaj co zarobi.

Dzieci podziękowały, ale Jaś powiedział cicho do siostry.

— Chodźmy teraz do lasu.

— A jeżeli zbłądzimy w lesie i nie będziemy mogli potem odszukać domu, gdy zechcemy wrócić do rodziców? — rzekła Małgosia.

— Nie obawiaj się — pocieszał Jaś siostrę — już ja znajdę sposób i potrafię odszukać drogę.

Otóż Jaś nie zjadł całego swego kawałka chleba, tylko przez całą drogę wśród lasu kruszył chleb i co kilkanaście kroków sypał okruszynki na ziemię, żeby mógł, idąc za tym śladem, trafić z powrotem do domu.

Tak odbyły dzieci bardzo długą drogę. Lecz błądziły po lesie napróżno.

— I cóż, Jasiu, będziemy robili? Chodzimy, chodzimy i nic nie robimy, cóż będzie?— pytała Małgosia.

— Chodźmy jeszcze dalej, przecież kogoś spotkamy.

— Mój braciszku kochany, jabym także chciała ulżyć rodzicom w biedzie, żeby nie potrzebowali troszczyć się codzień o chleb dla nas dwojga. Lecz cóż tu poczniemy? Wyszliśmy z domu i błądzimy bez celu. Dotąd nie spotkaliśmy nawet nikogo w drodze, ktoby nam pomógł.

— I mnie się zdaje, że sobie nie poradzimy sami.

— Więc wracajmy do domu.

— Wracajmy; i tych karzełków nigdzie tutaj nie widać.

Milcząc, wracały dzieci ciemnym lasem.

A wtem dziewczynka rzecze do brata.

— A czy dobrą drogą idziemy?

Jaś wszakże prowadził siostrę dalej przez las. W końcu chciał zawrócić na drogę do domu, idąc śladem rozsypanych okruszyn chleba. Lecz nie znalazł ich nigdzie, więc znów zawrócił i szukał.

— A widzisz, Jasiu, że błądzisz! Przecież tu nigdzie niema twoich okruszynek.

— Zaraz, zaraz będą.

— Ej, nie znajdziemy ich pewnie i nie trafimy do domu.

— Ależ nie płacz, Małgosiu! Chodźmy tędy.

— Zobaczysz, że i tędy droga nie do domu.

Szli znów w inną stronę; znowu wrócili, potem poszli w przeciwnym kierunku, a okruszyn Jasia nie było nigdzie.

— A widzisz, Jasiu, co teraz będzie?

— To pewnie ptaszki wyjadły mi wszędzie moje okruszyny.

— Pewno; i teraz zginiemy w lesie; jeszcze wilki nas tu zjedzą. Ach, co za nieszczęście! — mówiła Małgosia.

Jeszcze przez chwilę dzieci błądziły bezradnie, gdy wtem Jaś krzyknął.

— Patrz, Małgosiu! Jakiś domek tam stoi.

Poskoczyły dzieci co rychlej w tę stronę.

Ach to pewno ten domek czarodziejski, o którym słyszałem. Czy widzisz?

Spójrz no, Małgosiu, ściany, drzwi i okna jego są obwieszone ciasteczkami! — wołał Jaś, podbiegając do dziwnego domku.

— A dach cały obłożony piernikami! — wołała Małgosia, doganiając braciszka.

Dzieci ucieszyły się niezmiernie. Zaczęły obrywać pierniki i jadły je chciwie.

— Czy głodny byłeś, Jasiu?... co?

— Troszkę. A ty, Małgosiu?

— Och i jak! A smakują ci te pierniki?

— Bardzo dobre! Jeszcze nie jedliśmy nigdy takich przysmaczków, prawda?

— Gdzieżby? A jakie słodkie!

— Widzisz, teraz nie płaczesz. Czy źle, żeśmy tu przyszli?

Wtem drzwi domku skrzypnęły i na progu stanęła jakaś kobieta garbata i kulawa, a brzydka jak czarownica. Widok ten przejął dzieci dreszczem, ale uspokoiły się, gdy kobieta zapraszała je do izby.

— Chodźcie, dziatki, do środka, nie bójcie się! Tam więcej łakoci znajdziecie. Chodźcie do mnie do izby!

Przystał Jaś na to bez trwogi i wszedł z Małgosią do środka domku.

Czego tylko zapragnąć mogła dusza dziecka, wszystko znalazło się tu dla nich.

Wtem nadeszła noc, dzieci chciały wracać do domu, lecz kobieta nie pozwoliła.

— Zostaniecie tu u mnie — mówiła — i prześpicie się. Zobaczcie, jakie tu macie łóżka.

I poprowadziła dzieci do ślicznych łóżeczek, w jakich jeszcze nigdy nie spały. Położyły się i wkrótce zasnęły. Śniły też o łakociach, które jadły, o ojcu i matce i zdawało się im, że są w raju.

Obudziły się, gdy słońce już było wysoko na niebie.

Ale w lesie było ciemno.

— Dobrze ci tu, Małgosiu? — pytał Jaś.

— Pewnie, że dobrze. Mamy co jeść.

— I to same dobre rzeczy!

— Mamy gdzie spać.

— I to w takich ślicznych wygodnych łóżkach!

— Gdyby to rodzice nasi mieli to wszystko, co my tutaj mamy! Prawda, żeby to było dobrze?

— I ja o tem myślałem.

— Nie żałuję teraz, żeśmy wyszli z domu. Rodzice nie potrzebują już troszczyć się o chleb dla nas. A nam tu tak dobrze, jak w niebie!

Ale nie wiedziały biedne, że dostały się

w ręce strasznej czarownicy, która przynęcała do siebie słodyczami małe dzieci, by potem upiec je na pieczeń i zjeść.

To też gdy Jaś wstał, zła kobieta porwała go i związała, poczem usta chustką mu zamknąwszy, wrzuciła go do kurnika. Zrobiwszy to, zawołała na Małgosię, która na chwilę wyszła z izby.

— Chodź tu do mnie, leniuszku, twój brat jest już w kurniku.

Małgosia się zlękła.

— Dlaczego pani wsadziła go do kurnika? Przecież on nie kurczę, tylko chłopczyk, mój braciszek. Co on pani zawinił?

— To ty nie wiesz, gdzie jesteś? Otóż ja jestem baba Jaga; a za to, żeście zjadły moje pierniki na domku, ja was zjem! Ty będziesz mi usługiwała, a twego braciszka muszę dobrze utuczyć, żebym miała z niego tłustą pieczeń!

Teraz otwarły się oczy biednej dziewczynce; rozpłakała się i myślała tylko nad tem, że oboje zginą u tej czarownicy.

Chciała widzieć się z braciszkiem, aby z nim coś obmyślić, ale baba nie pozwoliła zbliżyć się do niego.

Tak przeminęła noc smutna; z wielkiego żalu Małgosia nie mogła spać.

Nazajutrz rano rzekła stara do Małgosi.

— Zdaje mi się, że Jaś już tłuściejszy,

muszę go dzisiaj upiec, dostaniesz i ty tej pieczeni.

Dziewczynka przeraziła się okropnie, tembardziej, iż widziała, że czarownica napaliła w głębi dużego pieca.

Lecz baba myślała sobie.

— Najprzód zjem Małgosię, a potem Jasia.

Około południa zawołała dziewczynkę.

— Chodź no tu; połóż się na tę blachę, ja cię trochę wsunę, abyś zobaczyła, czy piec już dość gorący. Nie bój się, wysunę cię zaraz z powrotem.

Małgosi błysnęła myśl zbawienia. Nie namyślając się długo, rzekła.

— Kiedy nie wiem, jak to zrobić. Niech mi pani pokaże, to ja potem zrobię tak samo.

Wtedy baba, chcąc jej dać z siebie przykład, jak ma postąpić, położyła się sama na blachę i włożyła głowę do pieca. A w tej chwili Małgosia śpiesznie wsunęła blachę w piec i drzwi żelazne zamknęła za czarownicą, która znalazła się w ogniu; wkrótce też spaliła się na węgiel.

Wtedy poskoczyła Małgosia do kurnika.

— Jasiu! Jasiu! — zawołała. — Idę cię uwolnić, już ci się nic złego nie stanie.

I prędko otworzyła bramkę kurnika.

Braciszek wybiegł i rzucił się na szyję siostrzyczce, całując ją serdecznie.

— A gdzie ta stara czarownica?

— Oho, już jej niema!

— No?... gdzież się podziała?

— Widzisz... ona chciała ciebie upiec i zjeść, tak samo i mnie. Ale tymczasem ja wepchnęłam ją do pieca.

— Małgosiu kochana! Co ty mówisz?!

— Naprawdę. Czarownica sama się upiekła w swoim piecu. A my jesteśmy teraz wolni!

I opowiedziała braciszkowi, jak to się stało.

Jaś uściskał z radości dzielną siostrzyczkę, poczem zabrali się oboje do słodyczy i wszelkiego jedzenia, jakie w izbie znaleźli.

Przespawszy się jeszcze jedną noc wygodnie na miękkich łóżeczkach, nazajutrz dzieci wyszły z domku czarownicy, żeby odszukać drogę do domu rodziców. Wkrótce stanęły nad brzegiem rzeczki, po której płynął duży ładny łabędź.

— Cóż to za ogromny ptak!

— Ja jeszcze takiego ptaka nie widziałam nigdy.

Zbliżyli się więc do brzegu.

Wtem wspaniały ptak odezwał się do nich.

— Czego tu chcecie, dzieci?

— Chcielibyśmy powrócić do naszych rodziców, ale nie znamy drogi.

— Siadajcie na mnie, ja was zawiozę do domu.

Więc Jaś i Małgosia usiedli na skrzydła łabędzia i płynęli po fali rzecznej. Kiedy wreszcie ptak zatrzymał się u brzegu, dzieci z radością poznały zaraz swoją okolicę i ujrzały zdala na skraju lasu chatkę ojcowską. Obejrzawszy się jednak ku wodzie, by podziękować łabędziowi, zauważyły, że ptak zniknął.

— Szkoda, że ten ptak tak prędko odpłynął — mówił Jaś. — Bylibyśmy go zabrali do domu... Ale to już nasza chatka, widzisz Małgosiu?

Tymczasem w domku matka martwiła się okropnie, że dzieci nie widać.

— Co się też stać mogło z naszemi dziećmi?—mówiła do męża.

— Czy ja wiem — odpowiedział ojciec. — Pewno zbłądziły, a może je wilki pożarły w lesie.

— Po co one poszły biedaki do lasu! Wtedy, gdy nie było co jeść w domu, to nam dzieciaki siedziały w izbie, a teraz, kiedy ty masz znowu dużo roboty i zarabiasz tyle, iż będzie się nam znowu dobrze powodziło, to dzieci nam zginęły i niewiadomo nawet, co się z niemi stało. Żebym też mogła jeszcze zobaczyć mego Jasia i moją Małgosię!

A wtem dziatki wpadły do izby.

— Mamo! Tato! Jesteśmy, jesteśmy! Błądziliśmy po lesie; czarownica chciała nas zjeść,

ale Małgosia ją upiekła i jakiś duży ptak przewiózł nas przez wodę do domu.

Nie rozumieli z początku rodzice, co dzieci mówiły, ale uściskali je z radością.

Przez kilka dni jeszcze ciągle dzieci opowiadały przygody swoje z czasu pobytu w lesie i w domku czarownicy.

TOMCIO PALUCH.

Pewien chłop miał już sześciu synów, gdy go Pan Bóg obdarzył jeszcze siódmym chłopcem, ale tym razem tak malutkim, iż ludzie patrzyli na dziecko z podziwem, myśląc, azali to maleństwo może być człowieczkiem.

Jednakowoż chłopaczek rozwinięty był jak należy, tylko wszystkie członki miał nadzwyczaj drobniutkie. Rósł wprawdzie z każdym rokiem, lecz tak nieznacznie, że się zawsze zdawało, że nie podrósł wcale.

Miał na imię Tomcio, ale że wszyscy mówili, iż jest mały jak palec, więc rodzice nazwali malutkiego Tomcia... Paluchem.

Jednak chociaż tak nikłego wzrostu, chłopaczek był rozsądniejszy od swych braci, starszych od niego i znacznie wyższych.

Był też Paluch bardzo silny, co największy dla niego budziło podziw u ludzi.

Bracia kochali go bardzo i uważali go zawsze raczej za najstarszego, niż za najmłodszego braciszka. On im zawsze przewodniczył, a kiedy z niemi poszedł do lasu, byli spokojni, że nie zbłądzą, bo za każdym razem Paluch potrafił drogę odnaleźć i przyprowadzić ich do domu.

Zdarzało się to tak często, że i rodzice nie bali się już o dzieci, zostawione w lesie, gdy między niemi był Paluch.

Razu pewnego siedmiu chłopców poszło po chróst do wielkiego lasu, prawie przed samym wieczorem; gdy się zanadto oddalili od znanych ścieżek, zaskoczyła ich noc ciemna i to w największej gęstwinie. Tym razem nawet Paluch, który miał już dziewięć latek, nie mógł sobie poradzić. Jakkolwiek pocieszał braci, żeby nie płakali, że on jeszcze odnajdzie drogę do domu, ale sam już wątpił, czy mu się to uda.

Nagle wśród zarośli zamigotało zdaleka jakieś światełko... Wprawdzie nie była to chata ojcowska, ale zbłądzeni chłopcy uradowali się myślą, że na noc znajdą się pod dachem jakichś ludzi, którzy nazajutrz wskażą im drogę do domu.

Poszli więc z Paluchem na przedzie, w ślad za światełkiem i wkrótce zapukali do drzwi obcego domku. Otworzyła im miła jakaś kobieta. Wtedy Paluch odezwał się.

— Zbłądziliśmy w lesie i nie możemy wrócić na noc do domu. Może pani pozwoli przespać się w stodole, a my jutro rano pójdziemy szukać drogi do wsi naszej za lasem.

Kobiecina, której Paluch podobał się, przyjęła dzieci na noc, lecz im powiedziała, że jest żoną strasznego olbrzyma-ludożercy, to jest takiego, co ludzi pożera, i że ten wkrótce wróci do domu.

Przerazili się chłopcy tą wiadomością, ale gospodyni uspokoiła ich, mówiąc, że dzisiaj może obroni ich przed ludożercą.

Wzięła chłopców, zaprowadziła ich do ciemnego pokoju i położyła do dużego łóżka.

— Połóżcie się tutaj razem—mówiła i bądźcie cicho. Raniutko was obudzę, a wtedy pójdziecie do domu.

W tej samej izbie na drugiem, podobnem łóżku spało siedem córeczek ludożercy. Każda z nich miała na główce maleńką koronę. Gospodyni, ażeby odróżnić siedmiu małych gości od dziewczątek, podobnie dużą kołdrą otulonych, włożyła każdemu chłopcu na głowę czapeczkę.

Wkrótce posnęli zmęczeni bracia Palucha. On jednak nie mógł jakoś spać, leżał tylko cichutko, z oczyma przymkniętemi, nadsłuchując, co się dzieje.

Wtem wszedł ludożerca. Zasiadł do stołu i pił dużo, bardzo dużo wódki i wina, poczem zawołał żonę i kazał sobie podać mięsa.

Kobieta zaraz przyniosła dużą miskę, ale olbrzym odepchnął sarninę, a zażądał ludzkiego mięsa.

Kiedy życzeniu jego nie stało się zadość, straszny człowiek, pieniąc się ze złości, począł dużemi krokami chodzić po wszystkich izbach, przewracając po drodze wszystko, co napotkał.

W Paluchu, który słyszał całą tę rozmowę, zadrżało serduszko.

A właśnie ludożerca stanął przed łóżkiem, na którem spało siedmiu chłopców. Zobaczywszy ich, zadziwił się i zatarł ręce z radości.

— Skąd te dzieci tu się wzięły? A to będę miał wspaniałą wieczerzę! — krzyknął. — Poczekajcie!

I zaraz zaczął ostrzyć duży nóż.

Paluch struchlał.

Aliści kobiecina ubłagała męża, aby nie zabijał i nie pożerał ładnych chłopaczków, bo ich jest siedmiu braciszków, to jest tylu, ile oni mają córek w domu.

Odszedł więc na chwilę ludożerca od łóżka do innej izby, lecz Paluch tem się nie uspokoił, ponieważ słyszał ciągle gniewny

głos strasznego zbója, który się upierał przy swoim zamiarze.

Cichutko więc chłopak wysunął się z pod kołdry, zdjął czapeczki z główek braci i ze swojej i poprzekładał je na główki siedmiu dziewcząlek na drugiem łóżku, a korony, które zdjął córkom ludożercy, pozakładał na głowy swych braciszków; ostatnią wreszcie przyłożywszy do swego czoła, wsunął się znowu pod kołdrę.

W tej samej chwili z krzykiem wpadł do izby zbój winem pijany i przyskoczywszy do łóżka chłopczyków, chwycił pierwszego z brzegu Palucha za głowę. Ale gdy ręką dotknął korony, zatrzymał się, przypatrzył główkom śpiących chłopców i spostrzegł same korony. Pewny więc, że to jego córeczki, odskoczył i stanął nad drugiem łóżkiem, gdzie spały właśnie dziewczynki, lecz w czapeczkach męskich.

— Codzień zjem jednego chłopca—mówił— wystarczy mi na siedem dni — i porwawszy pierwszą dziewczynkę z brzegu, wyszedł z nią do kuchni, aby ją tam zarznąć.

W Paluchu serce tak dygotało, że słyszał jego bicie, ale oczy przymykał, udając sen; bracia jego spali twardo, o niczem nie wiedząc.

Co się dalej stało, nie wiedział Paluch, bo ludożerca, zabrawszy córeczkę, wyszedł z izby i już do rana nie wrócił; widocznie

nak po zabiciu dziewczynki położył się zaraz spać, bo wkrótce rozległo się po domu straszne jego chrapanie.

Przed świtem, gdy cisza zalegała domek w lesie, Paluch, obudziwszy braci, wyprowadził ich czemprędzej bez szelestu przez okno do lasu. Tu dopiero opowiedział im przygody nocne.

— Wy nic nie wiecie! Włosy wam staną na głowach, gdy się dowiecie, co było tej nocy! — rzekł do nich.

— Co takiego?! co takiego?! — zawołali chłopcy. — Powiedz nam, Paluchu!

— Ludożerca byłby nas może zjadł, gdybym naszych czapeczek nie pozakładał na głowy jego córeczek, a na nasze głowy nie włożył ich koron...

— Co ty powiadasz, Paluchu?!

— A jakże! Ludożerca myślał, że to nie my, tylko jego córki — i zostawił nas w spokoju... nic nam nie zrobił... A już do nas szedł, już był przy naszem łóżku z nożem swoim ogromnym.

— Toś ty mądrze zrobił, Paluchu!

— Ale teraz uciekajmy prędzej, bo nas będzie ścigał.

Zaczęli więc uciekać.

Wychodząc, wszyscy chłopcy zostawili korony, a przywdziali swoje czapeczki i kapturki.

Gdy się w lesie znaleźli, zaczęli biedz, jak mogli najszybciej.

Tymczasem żona ludożercy, obudziwszy się rano, dowiedziała się, co zaszło w nocy. Gdy zobaczyła, że brak jednej dziewczynki w łóżeczku, z krzykiem rozpaczy przybiegła do męża.

— Cóżeś ty uczynił!?

I przyciągnęła go do izby, gdzie spały dzieci, pokazując mu jego okrucieństwo.

Złość straszna ogarnęła olbrzyma.

— Już ja tych malców nauczę! — wołał do żony. — Chociażby mi najdalej uciekli, to ich jeszcze dogonię, bo zabiorę ze sobą moje dalekonośne buty!

— Po co ci te buty? — mówiła mu żona.—Przecież chłopcy jeszcze nie mogli uciec bardzo daleko. I bez tych butów dogonisz ich z pewnością.

Lecz ludożerca włożył na nogi swoje buty dalekonośne i wybiegł z domu w pogoń za zbiegłemi chłopcami.

Dziwne to były buty, jakich nikt na świecie nie miał prócz owego zbója. Kiedy on je na nogi włożył, mógł niewielu krokami przebyć drogę kilku mil.

Ale tym razem nie potrzebował nawet wielu kroków robić, by dogonić chłopców, którzy nie uszli jeszcze i dwóch mil.

Paluch usłyszał szum jakiś w powietrzu,



3

obejrzał się poza siebie i zdaleka zobaczył ludożercę. Więc wraz z braćmi skrył się coprędzej do jaskini, koło której przechodzili.

Zbój pomknął dalej, nie zobaczywszy dzieci, które się dobrze ukryły przed jego wzrokiem. Przeleciał kilkanaście mil, kierując swe kroki to w jedną, to w drugą stronę, a nigdzie nie mógł znaleźć małych zbiegów.

Wtedy zrozumiał, że się widocznie zapędził za daleko i że dzieci przecież muszą być jeszcze ciągle blizko jego domu.

Wrócił tedy w kierunku swego mieszkania.

Ale gonitwa w powietrzu za uciekającemi tak go ogromnie zmęczyła, że o parę mil od swego domu zatrzymał się wśród lasu dla wypoczynku.

— Nie uciekną mi przecie — myślał sobie. — Przy pomocy tych butów, dogonię ich wszędzie!

Położył się, zdjął buty i ze zmęczenia wielkiego zasnął.

A było to właśnie blizko jaskini, w której Paluch ze swemi braćmi schował się przed pościgiem.

Właśnie chłopcy wyszli z kryjówki i rozglądali się, czy zbója nie widać gdzie blizko.

Wtem Paluch powiedział cicho.

— Jest, jest! Tu leży niedaleko i śpi. Zostańcie jeszcze w jaskini, ja sam do niego pójdę.

— Paluchu, bądź, ostrożny, żeby cię olbrzym nie porwał — prosili bracia.

Paluch po cichu i ostrożnie zbliżył się do ludożercy, a widząc czarodziejskie buty, leżące przy nim, zabrał je i czemprędzej włożył na swoje nogi, co mu przyszło z łatwością, bo dziwne te buty dały się zwężać i rozszerzać do woli i do każdej nogi, dużej czy małej, przylegały zupełnie.

Wtedy wyprowadziwszy swych sześciu braci z jaskini, gdy zbójca zmęczony spał jeszcze, kazał im trzymać się silnie za ręce i sam w swoje małe dłonie ujął ręce dwóch najstarszych chłopców.

W ten sposób ruszyli w drogę. Co krok, to Paluch zrobił pół mili, a z nim jego bracia; lecieli niemal w powietrzu.

Wkrótce byli za lasem i z góry ujrzeli chatę rodzinną, a wtenczas zatrzymali się. Paluch zdjął buty i uradowani, weszli do chaty.

— Gdzieżeście były, dzieci? — spytała matka — byliśmy tak o was niespokojni.

— Tatko! Mamo! — mówił już u progu Paluch. — Zabłądziliśmy w lesie i przespaliśmy noc w domu ludożercy!

— Boże kochany! — zawołała matka prze-

lękniona, a ojciec zaczął liczyć, czy jest ich siedmiu.

— Ależ wszyscy jesteśmy! Przyprowadziłem wszystkich, nikomu nic się nie stało! Ten olbrzym, u któregośmy spali, chciał nas pozabijać!

— Tylko mu Paluch nie pozwolił! — wtrącił jeden z braci.

— Pewnie że mu nie dałem! Na drugiem łóżku spało jego siedem córeczek, ja im na główki włożyłem czapeczki i zbójca myślał, że to nie one tam spały, tylko my! On poszedł do nich, a nam nic się nie stało!

— I Paluch wyprowadził nas z lasu! — dodał znów jeden z braci. — Uciekaliśmy wszyscy.

— Ale jak nas ludożerca ścigał...

— I dogonił was? — wołała matka z trwogą.

— Nic nam nie zrobił! Zmęczył się w drodze i zasnął, nie wiedząc, żeśmy się skryli do pewnej jaskini. A ja cichutko poszedłem do niego i zabrałem mu jego buty. To są dalekonośne buty, proszę ojca. Tak jest, to są takie buty, że w nich jednym krokiem pół mili przelecę, a gdy kilkanaście kroków zrobię, wtedy jestem o siedem mil dalej. Podobno nikt takich butów nie ma na świecie. Niech się mama przypatrzy, jak one wyglądają!

I pokazał rodzicom owe czarodziejskie buty.

Radość była w domu wielka.

Wieść o mądrości Tomcia-Palucha i o jego czarodziejskich butach szła od wsi do wsi, aż doszła do samego króla. Zawezwał go król do swego zamku i kazał pokazać sobie te buty. Tomcio przybył w nich i dowiódł królowi, jak szybko może z ich pomocą przebiegać dużą drogę. Król, zadowolony, zrobił go swoim adjutantem i zaraz kazał mu pędzić w tych butach na pole wojny z rozkazami, gdzie właśnie wojska królewskie miały stoczyć bitwę z nieprzyjacielem.

Paluch miał odbyć drogę daleką, blizko sto mil.

Król niecierpliwie oczekiwał jego powrotu; ale Paluch powrócił już w trzy godziny, przynosząc do zamku wiadomość o wielkiem zwycięstwie wojsk królewskich.

Za to król całą wieś podarował Paluchowi i jego rodzinie; zaś Paluch od owego czasu został przy królu, który zawsze używał go w podobnych potrzebach.

Odwiedzał też Paluch często swoich rodziców i braci, którzy zostali zamożnemi gospodarzami.

O ZBÓJU GRUSZCE I GÓRALSKIEM DZIECKU.

W dawnych czasach włóczył się po górach Karpackich pewien rozbójnik, który napadał to na chaty zamożniejszych gospodarzy, to na górali, wracających pojedyńczo nocą do domu, i zazwyczaj nietylko obdzierał ich ze wszystkiego, ale często i zabijał.

Ów zbójca straszny nazywał się Gruszka; był zaś tak silny, że sześciu ludzi rady mu nie dało.

Ludzie drżeli przed nim, a obronić się od niego nie mogli. Żadna obława nie pomagała. Zbój umiał tak kryć się w górach, że go nikt nie mógł odszukać, a gdy go przydybano kiedy na gorącym uczynku i już chwytać i wiązać chciano, to zawsze tylu ludzi pokaleczył, a nawet pomordował, że w końcu bano się go zaczepić.

Razu pewnego, Gruszka, ukryty w gęstwi-

nie górskiego wąwozu, zobaczył zdaleka na ścieżce górala Bodjaka, uchodzącego wśród okolicznych mieszkańców za bogacza, który konno z dzieckiem kilkoletniem powracał z miasta z jarmarku.

Góral widział już nieopodal chatę swoją i obejście, gdy zeskoczywszy z konia, posadził na nim wygodniej swe dziecko, lnianowłose dziewczątko, widocznie ulubienicę swoją; Bodjak brał je zwykle, gdy jechał do miasta lub na jarmark.

Zatrzymawszy się, góral zdjął z siebie torbę, wyjął z niej zawiniątko, rozwinął je i przeliczywszy papierki, tworzące sporą sumkę pieniężną, zawiesił torbę córeczce przez plecy i rzekł do niej.

— Pojedziesz, dziecino, sama do domu! Trafisz przecie, boć już blizko...

— Pewnie, że trafię — odparło dziecko — wszakci już widzę nasze obejście, ot, tam, tatulu!...

— Dobrze, moja córeczko, masz tutaj torbę, a w niej pieniądze... Oddaj to matuli i powiedz, że to przywiozłem z jarmarku; niebawem sam powrócę, tylko jeszcze wstąpię po drodze do wójta w ważnej sprawie.

— Powiem, a wrócisz tatku, rychło do domu?

— Niezadługo, moje kochanie! Tylko mi uważaj na torbę i nie zgub pieniędzy!

— Nie zgubię, nie!...

Stary koń, znający drogę do domu, ruszył noga za nogą. Bodjak zaś poszedł w przeciwną stronę.

Wszystko to widział i słyszał ukryty za krzakami zbój Gruszka i postanowił, bądź co bądź, skorzystać ze sposobności, jaka nie zdarzy się rychło po raz drugi.

Umyślił sobie, że znienacka wyskoczy z zarośli...

— Dziecko się przestraszy, a ja zedrę z niego torbę i ucieknę z pieniędzmi!—rzekł do siebie.

Ale mu na myśl zaraz przyszło, że dziewczynka zapamiętałaby sobie zapewne strój jego i opisałaby napastnika.

— A Bodjak poznałby po tym opisie, że to ja go ograbiłem — pomyślał sobie — trzeba to zrobić inaczej!

Zastanawiając się nad tem, że góral starałby się potem wszelkim sposobem złowić go i strasznie ukarać, powziął Gruszka okropny zamiar zgładzenia ze świata niewinnego dziecka, byle tylko posiąść pieniądze Bodjaka.

Wysunął się więc z gęstwiny i pod przydrożną stanąwszy gruszą, zbliżył strzelbę do oka...

Spokojnie mierzył do dziecka, jak myśliwy do ciągnącej słomki, gdy wtem niespo-

dziewanie z góry spadło mu na głowę coś tak ciężkiego, że zadrżawszy na całem ciele, strzelbę z rąk wypuścił.

Tymczasem przelękniony koń szybko popędził i uniósł dziewczynkę z przed oczu rozbójnika.

Gdy oprzytomniał, dziecka już nie było. Zastanawiał się więc Gruszka nad tem, co mogło rękę jego powstrzymać od haniebnego strzału...

— Coby to być mogło?—pytał sam siebie.

I zobaczył, że pod nogami potoczył się jakiś duży owoc, do jabłka podobny, lecz nieco kształtem odmienny...

Zbój podniósł głowę w górę, skąd ten owoc spadł mu na nos — i ujrzał, że cała grusza obwieszona jest takiemi dużemi owocami. Zdumiał się bardzo, bo w owych stronach grusze nie rodziły tak wielkiego owocu.

— Dziwna rzecz! Jeszcze tego nie widziałem nigdy... jakież wielkie owoce, a każdy waży po kilka funtów! Coby to znaczyć miało?

I ruszyło się w zbójcy sumienie.

— Rozumiem — rzekł do siebie — w tem zrządzeniu musi być Opatrzność Boża!... Nie inaczej... Zbój jestem. Dzieciątko niewinne zgładzić chciałem ze świata dla pieniędzy — i ręka Boska powstrzymała mnie w porę...

Począł trząść drzewem mocno, a kiedy spadło mnóstwo tych owoców, zdjął z siebie czerwony zbójecki kaftan i ile tylko w niego zmieściło się dziwnych podłużnych jabłek — zabrał ze sobą.

Z tym tłomokiem poszedł do chaty Bodjaka, gdzie właśnie matka w progu witała córeczkę na koniu...

— Matulu moja! — zawołało dziecko. — Sama powracam z jarmarku.

— Boże kochany! a cóż się z ojcem stało? — krzyknęła przerażona matka, widząc, że mąż nie powrócił.

Lecz dziewczynka uśmiechnęła się wesoło.

— Nie bójcie się, nie bójcie! Nic się tatce nie stało... Przyjdzie rychło do domu, jeno do wójta wstąpić musiał po drodze...

— Więc mów tak odrazu, dziecino!

— A mnie ojciec dał torbę, żebym tymczasem przywiozła ją do domu... Są w niej pieniądze.... Przywiózł je tatuś z jarmarku i kazał oddać matuli...

— I nie zgubiłaś?

— Cóż znowu! Przykazał mi tatuś, żebym torby pilnowała w drodze i przywożę ją też całą... Nic nie zgubiłam...

— To szczęście, moja duszko. Mógł cię kto napaść po drodze, torbę ci odebrać, bo zbóje kręcą się po naszej okolicy!...

Na te słowa wszedł Gruszka.

Wszyscy przelękli się bardzo.

— Jezu! — zakrzyknęła matka — to Grusza! Czyżem wilka wywołała z lasu?

Lecz zbójca zaraz ich uspokoił.

— Nie bójcie się! Ja wam nic złego nie zrobię... Z Bogiem do was przychodzę, bo chcę Jego tak chwalić, jako wy Go chwalicie!

I podał dziewczynce zebrane owoce, mówiąc.

— Jedz, dziecko, jedz, nie bój się, bo te jabłuszka lepsze są od zwyczajnych jabłek, a nazywają się gruszki... Widzicie, że nie chcę wam uczynić nic złego... Byłem ja zbójem i nawet córeczkę waszą dzisiaj zabić chciałem na drodze, żeby ją ograbić z ojcowskich pieniędzy, lecz Pan Bóg wstrzymał moją rękę, kiedy strzelić do niej chciałem...

— O, Jezu! — krzyknęła kobieta. — Toż to sen prawdziwy!

Wtedy Gruszka rozpruł swój kaftan i wyjął z niego bardzo dużo złotych pieniędzy, a dając je Bodjakowej, prosił ją, żeby wszystko rozdała pomiędzy najbiedniejszych.

— A sam pójdę teraz — mówił zbójca — do kościoła, aby przeprosić Pana Boga za tysiące moich złych uczynków i stanę

się odtąd uczciwym i pracowitym człowiekiem!...

Pójdę w dalekie strony, gdzie mnie nie znają i o mnie nie wiedzą. Tam będę ciężko pracował na kawałek chleba i odtąd nigdy nie zrobię ludziom krzywdy.

Jak przyrzekł, tak zrobił, i raz zbójeckie porzuciwszy rzemiosło, dużo jeszcze dobrego świadczył ludziom, którym wprzód tyle złego wyrządził.

WOSKOWE KWIATY.

Pewnego dnia, jesienną porą, żebrak w łachmanach zastukał do bram królewskiego zamku.

Wyszły ku niemu straże uzbrojone, a ujrzawszy zblizka nędzarza, chciały go wesprzeć. Jeden żołnierz rzucił mu suchy kawałek chleba, drugi zaś miał mu w rękę wcisnąć drobny jakiś pieniążek, gdy wtem dziad, widząc jałmużnę, cofnął się od bramy.

— Nie chcesz, dziadku?—zapytali zdziwieni strażnicy zamkowi.

— Bóg wam zapłać! — rzekł starzec.

— Czego więc chciałeś tutaj?

— Kto jest pomiędzy wami starszy? — zagadnął niezwyczajny żebrak.

— Ja jestem starszy — zawołał wtedy jeden, któremu z oczu patrzało, że nie był prostym żołnierzem.

— Chcę iść do króla—odezwał się starzec.

— Co?! — zakrzyknęli wszyscy chórem.

— Proszę was, puśćcie mnie na zamkowe komnaty i prowadźcie do króla, bo muszę z nim mówić.

— Niebywałe rzeczy! — mówił starszy między strażą — przecież żebraków w łachmanach król nasz nie przyjmuje.

— Spróbujcie zapytać — prosił dziad.

— Kogo pytać?

— Spytajcie samego króla, zali mnie nie przyjmie, skoro go o to błagam.

Roześmieli się wszyscy.

— Powiedzcie królowi, że mam mu dać radę ważną, jakiej nikt mu nie udzieli.

Poszli strażnicy do króla i powiedzieli, czego chciał żebrak. Po chwili wrócili do bramy, dziwnie głowami kiwając, dostali bowiem wyraźny rozkaz, by przed oblicze króla wprowadzić dziada w postrzępionej odzieży.

— A widzicie! — rzekł im dziad spokojnie — przecież wam mówiłem, że król nasz jest dobry i gotów przyjąć każdego ze swoich sług wiernych, choćby nawet w łachmanach.

Zaprowadzili go więc żołnierze ubocznemi krużgankami wprost do komnaty króla.

Kiedy ów dziad znalazł się przed dobrotliwym monarchą, pokłonił się nizko, aż do samej ziemi i poprosił, by mu było wol-

no mówić z królem sam na sam bez świadków.

Król, coraz bardziej zaciekawiony, kazał się wszystkim oddalić. A wtedy dziwny żebrak sam zamknął drzwi i pozostawszy na osobności z królem w czterech ścianach, od bogactwa lśniących, rzekł.

— Panie! czy mam ci powiedzieć, nad czem myślałeś, siedząc sam tutaj, zanim weszły straże, które cię o mnie powiadomiły?

— Ty miałbyś o tem wiedzieć?! — zawołał król, zdumiawszy się wielce.

— Znam, królu, twoje myśli. Czy chcesz abym cię o tem zaraz przekonał?

Król nie dał mu na to żadnej odpowiedzi, jeno wpatrywał się w dziada uważnie, jak gdyby rozmyślał, coby to mógł być za człowiek.

A żebrak tymczasem jął opowiadać.

— Panie, znam dobrze twoje zmartwienie. Myślałeś o niem przed chwilą, kłopocząc się strasznie, iż nie możesz sobie znaleźć rady na oną ciężką zgryzotę. Czyż nie tak, królu mój i panie? Martwi cię to, iż stary jesteś, coraz starszy, a gdyby cię Bóg zechciał powołać do siebie, nie miałbyś komu pozostawić tronu.

Król smutnie pokiwał głową.

— Masz trzy córki dorodne — mówił dziad dalej — Jadwigę, Helenę i Zofję. Wszystkie

te trzy królewny przyszły na świat w jednym dniu i wszystkie są do siebie tak podobne, jak trzy krople wody; rodzona matka, gdyby żyła, nie mogłaby rozpoznać, która z trzech jest Jadwigą, która Heleną, a która Zofją, gdyż żadnej niema między niemi różnicy.

— Nie przypominaj mi tego! — przerwał król zasmucony. — Istotnie bowiem, największem jego zmartwieniem było właśnie przedziwne podobieństwo trzech córek. Skutkiem tego starszyzna narodu w swoim czasie uradziła, że skoro król nie ma syna, będzie po nim krajem rządziła córka. A ponieważ nie wiadomo, która starsza, więc postanowiono, że ta będzie panowała po ojcu, która pierwsza za mąż wyjdzie. Tymczasem, lubo często na ojcowski dworzec zajeżdżali piękni królewicze, ani jeden książę nie oświadczył się o rękę żadnej z trzech córek, gdyż każdemu wszystkie trzy podobały się jednakowo i nie wiedział, z którąby się ożenić. To też dziad odgadł, że król rozmyślając nad tem, martwił się ogromnie.

— Dowiedziałeś się, królu — znów mówił żebrak — iż sąsiedni królowie postanowili poczekać do chwili twojej śmierci, żeby wszystkie trzy córki twoje pojąć za żony i wspólnie rządzić spuścizną twoją. Zali nie tak?...

— A skądże ty, dziwny człowieku, wiesz o tem wszystkiem? — wołał król, za głowę się ujmując obiema rękami. A dziad mu na to.

— Widzisz, mój królu, że ja wiem wszystko.

— Uważam też, iż wiesz to nawet, o czem nikt nie wie, prócz królów.

— Ty, panie, nie chcesz do tego dopuścić, by rozdrapano piękną twą spuściznę. Chcesz temu przeszkodzić, a nie znasz sposobu na to. Czyż nie nad tem rozmyślałeś przed chwilą, królu?

— Nie inaczej. Odgadłeś wszystko.

— Przyszedłem tedy udzielić ci rady. Posłuchaj mnie, a dam ci sposób na ocalenie kraju.

— Powiadasz, że masz na to radę?! Ależ ja cię za to ozłocę!

— Nic mi za to nie daj, panie, tylko mnie wysłuchaj. Otóż za tydzień przypada dzień św. Andrzeja, patrona twego, królu. Hucznie musisz obchodzić swoje imieniny i na wielką ucztę, jaką wyprawisz wieczorem w wigilję dnia tego, zaprosisz mnóstwo gości, mężczyzn i kobiety, zwłaszcza rówieśnice twych córek. Muszą zjechać na twój dwór również wszyscy królowie i książęta z sąsiedztwa twego kraju. A kiedy wszyscy będą się dobrze bawili, wówczas

dopiero ja się zjawię w podwojach tego zamku.

— I cóż więcej? — pytał król.

— Nic więcej nie mam ci do powiedzenia, mój królu. Byleś jeno postąpił tak, jak ci rzekłem.

To mówiąc, skłonił się dziad nizko do ziemi na pożegnanie i spokojnie zamek opuścił.

Król nie mógł wyjść z podziwienia, lecz postanowił czekać cierpliwie, co wyniknie z owej uczty, na którą, według rady dziada, zaprosił setki osób.

Nadszedł wieczór wigilji św. Andrzeja.

Na dworzec ojca trzech dorodnych córek, zajeżdżały jedne po drugich bardzo bogate orszaki dostojnych gości. Roiły się marmurowe sale od strojnych królewiczów i książąt.

A kiedy się już wszyscy zebrali w komnatach, dano znać królowi, że w zamkowym ogrodzie zgotowano wielką dla gości niespodziankę. Poprosił tedy król wszystkich, by zechcieli wraz z nim przejść do ogrodu.

Tu przed cieplarnią oczekiwał dostojnych gości stary ogrodnik, mistrz wielki w hodowaniu pięknych i niezwykłych kwiatów.

Przygotował on wspaniały upominek królowi na imieniny. Wypielęgnował mianowicie w sztuczny sposób ogromny krzew ró-

ży, na którym było parę setek prześlicznych kwiatów wszelkiego rodzaju, jednakowoż każdy kwiat był inny; róża zaś była tylko jedna.

Teraz właśnie prosił ogrodnik, by król zechciał przyjąć w darze ten krzew niezwykły.

Goście z podziwem przypatrywali się krzakowi, tak obficie obsypanemu kwieciem.

Król przyjął łaskawie podarunek i kazał hojnie obdarować mistrza, któremu udała się taka ogrodnicza sztuka, poczem każdy z gości, na zaproszenie, zerwał po jednym kwiecie z krzewu różanego.

I trzy królowe zerwały również po jednym kwiatuszku: Jadwiga różę, Helena konwalję, a Zofja fijołek.

Tak kobiety, jak i mężczyźni poprzypinali sobie te kwiaty do sukni i okazało się, że w całem towarzystwie nie było dwóch osób, któreby miały kwiat jednaki.

Kiedy powrócono na zamkowe komnaty, zjawił się nowy gość. Był to jakiś zamożny książę z dalekich stron, który przejeżdżając przez kraj, zatrzymał się tutaj, prosząc króla o gościnę. Dowiedziawszy się zaś, że trafił na uroczystość imienin władcy całego kraju, pragnął złożyć mu zarazem swoje życzenia.

I król i całe towarzystwo, wszyscy jak

najserdeczniej przyjęli obcego księcia, ciesząc się, że im dużo nowin opowie.

Wśród zabawy, gość bez kwiatka u sukni wyraził zdziwienie, że dziś, z okazji wigilji św. Andrzeja, towarzystwo nie zajmuje się wylewaniem wosku i wróżbami z odlewów jego.

Nikt słów księcia cudzoziemskiego nie zrozumiał. Więc wszyscy zasypali go ciekawie pytaniami, co to za zwyczaj, którego nikt z nich nie znał i o nim dotychczas nie słyszał.

Wówczas książę poprosił, by przyniesiono z kuchni kilka dużych misek, napełnionych zimną wodą, tudzież dużo wosku.

Spełniono jego życzenie, poczem w myśl wskazówek gościa cała młodzież — dziewczęta i mężczyźni — wśród ogromnego zaciekawienia, zabrali się do topienia wosku i wylewania go na wodę; nawet starsi goście, z królem na czele, przypatrywali się tej zabawie z zajęciem.

Następnie wszyscy, trzymając pod światło ulane z wosku figurki, uważali, jakie cienie one rzucają na ścianę.

I o dziwo!... Każdy wylew z wosku przedstawiał jakiś kwiat o wyraźnych kształtach, a każdy był inny.

— Cóż z tego wynika?—pytano.

— W stronach, skąd ja przybywam — mó-

wił obcy książę — z tych woskowych figurek młodzież ciągnie wróżby.

— W jaki sposób?

— To zależy od okoliczności... Jeżeli sobie naprzykład dziewica uleje z wosku figurkę, której cień na ścianie przedstawia rycerza, to sądzi, iż dla niej rycerz na męża przeznaczony.

— Ależ my wszyscy ulelišmy z wosku same kwiaty — wołano zewsząd.

— Widzę — odpowiedział im wtedy obcy — że każdy z gości królewskich ma dziś kwiat przypięty do sukni. Więc zważać trzeba, kto sobie jaki kwiat z wosku ulał i takiego szukać w towarzystwie; a jeżeli to jest piękna dziewica, to podług wróżby ona winna zostać jego żoną.

— Doskonały pomysł! — wołali wszyscy.

Wtedy jeden z książąt, z narcyzem przypiętym do sukni, młody, piękny i możny królewicz, zawołał.

— Mnie się z wosku ulał fijołek...

A na to poczęli szeptać wokoło, iż fijołek u sukni ma jedna z trzech królewien, córek gospodarza domu. Pobiegł do niej tedy królewicz i spytał.

— Królewno! jak ci na imię, pani?

— Zofja.

— A jaki kwiatek ulał się pani z wosku?

— Narcyz.

— Ja właśnie mam u sukni taki kwiat, a u ciebie, pani, widzę fijołek. Mnie właśnie z wosku ulał się fijołek.

I za rączkę ująwszy piękną królewnę, zawiódł ją do jej ojca, króla, którego poprosił zaraz o rękę księżniczki Zofji.

Po chwili okazało się, że inny królewicz, z hjacyntem u piersi, ulał sobie z wosku konwalję, więc poprosił króla o rękę królewny Heleny; co widząc trzeci książę, z tulipanem u boku, a z różą z wosku w ręce, stanął przed królem z królewną Jadwigą. Helena bowiem miała z wosku ulany hjacynt, a Jadwiga tulipan.

Ponieważ jednak o rękę Zofji prosił królewicz z narcyzem żywym i fijołkiem woskowym, przeto jego najliczniejsze spotkały powinszowania; królewna Zofja bowiem, przyszła jego żona, miała po swym ojcu rządzić krajem.

Radość króla była wielka, a w całem towarzystwie zapanowała ogromna wesołość. Teraz dopiero zabawa zawrzała na dobre i trwała długo jeszcze po uczcie.

A kiedy wreszcie goście opuszczali zamek i cudzoziemski książę miał również odjeżdżać, król zapytał służbę, czy nie pukał do bram dzisiaj ów żebrak, który był u niego przed tygodniem. Lecz nieznajomy książę szepnął mu w tej chwili.

— O mnie pytasz, królu?... Powiedz, czyś zadowolony z mej rady? Skoro tak, to pamiętaj co rok w wigilję św. Andrzeja o zwyczaju lania z wosku.

Nim jednak król zdołał odpowiedzieć, lub dziękować mu za tak oryginalny a zbawienny sposób ocalenia kraju — już nieznajomy zniknął.

ŚPIĄCA KRÓLEWNA.

W piękny poranek majowy siedziała królowa w ogrodzie zamkowym, słuchając śpiewu słowika.

— Ach, gdybym mogła ujrzeć tego ptaszka, którego głos tak lubię! Nigdy go jeszcze nie widziałam.

Wtem w leszczynie coś zatrzepotało i przed królową stanął szary ptaszek, skacząc u jej nóg.

— Jestem, królowo! Czy mnie wołałaś?— zapytał.

Uśmiechnęła się do niego królowa i rzekła.

— Jak się nazywasz, ptaszku?

— Nazywają mnie ludzie słowikiem.

— Więc to ty śpiewasz tak ślicznie w moim ogrodzie? Chodźże do mnie, luby ptaszku! — wołała uradowana królowa, biorąc w rękę słowika.

Ten się nie bronił wcale.

— Słuchaj, ptaszku, ja cię teraz nie puszczę; zabiorę cię do zamku, dam ci mieszkanie w złotej klatce, będziesz mi śpiewał zawsze tak pięknie, jak tu w leszczynie, kochany mój ty śpiewaku!

— Królowo — odezwał się ptaszek — błagam cię, ulituj się nademną, nie chciej mnie więzić, muszę wracać do gniazda, do mojej samiczki, to dla niej ja tak śpiewam; uwolnij mnie, królowo!

— Nie, nie — mój ptaszku — musisz zostać moim śpiewakiem, będzie ci dobrze w moim pokoju, zobaczysz.

— Litości, królowo! Jeżeli mnie zaraz uwolnisz, odwdzięczę ci się stokrotnie!

— Ty, mały, szary ptaszku? — śmiejąc się zawołała. — Jakże ty mógłbyś mi się odwdzięczyć?

— Przekonasz się, królowo!... Puść mnie, a wtedy czego zażądasz, czego zapragniesz tylko, spełni ci się na pewno...

— Spróbuję. — I królowa puściła z rąk ptaszka, który wyfrunął swobodnie, a po chwili siadł opodal, mówiąc.

— Czego żądasz?... Powiedz, królowo, czego pragniesz?... Może ci brak czego?...

Królowa zamyśliła się, bo nie wiedziała, czegoby miała żądać.

— A czy masz dzieci, królowo? — pytał wtedy ptaszek.



4

— Nie mam, mój ptaszku...

— A czy pragnęłabyś, królowo, mieć syna lub córkę, powiedz?...

— Owszem, mój ptaszku, bardzobym pragnęła!

— Skoro tak, to zanim rok jeden minie, spełni się twoje życzenie — odpowiedział słowik i zniknął.

Istotnie, rok nie minął jeszcze, gdy na zamku królewskim odbywały się wspaniałe uroczystości z powodu przyjścia na świat córki królowej.

Król nie posiadał się z radości, gdy mu pokazano dziecię. Maleńka królewna była tak piękna, jak najpiękniejszy pączek różyczki w rozkwicie, więc nazwano ją Różyczką.

Na wielką ucztę, jaką król na zamku wydał z tego powodu, oprócz mnóstwa dostojnych gości, przyszły także wróżki z okolicy, które nie były zaproszone. Przywitano je gościnnie i zastawiono stół dla nich w osobnej sali; ale ponieważ ich się nie spodziewano, więc przy licznym zjeździe gości brakło naczynia, i dla wróżek znalazło się już tylko sześć talerzy. Kazano zatem służbie zamiast wszystkich siedmiu, zaprosić tylko sześć wróżek do stołu.

Były to czarodziejki, które, jak w okolicy mówiono, umiały przepowiadać przyszłość,

ale zarazem za pomocą swoich zaklęć czarodziejskich podobno sprowadzały na ludzi szczęście lub nieszczęście.

Po uczcie przybliżyło się sześć dobrych wróżek do złotej kolebki, w której spoczywała nowonarodzona królewna. Wróżki z zachwytem przyglądały się pięknemu dziecku, poczem jedna za drugą zaczęły wymawiać swoje zaklęcia czarodziejskie.

Więc pierwsza rzekła.

— Będziesz najcnotliwszą istotą w kraju.

— I najszczęśliwszą na świecie — wróżyła druga.

— Najbogatszą z królewien—rzekła trzecia.

— Mądrzejszą będziesz od starych uczonych — wywróżyła czwarta, poczem piąta rzekła.

— Nie będzie nad ciebie piękniejszej na ziemi dziewicy!

A kiedy szósta miała się nad kołyską nachylić, by swoją dobrą wypowiedzieć wróżbę, nagle siódma wróżka wbiegła do komnaty z krzykiem, który aż przestraszył dziecko. Była to nietylko niedobra wróżka, lecz nawet bardzo zła czarownica. A teraz wyglądała jeszcze straszniej, bo była zła o to, że jej nie zaproszono na ucztę z powodu, iż zabrakło dla niej nakrycia u stołu.

Ze złością zbliżyła się do kołyski maleńkiej królewny, pochyliła się nad dziecięciem

i ze strasznym wzrokiem i z włosem rozwianym na głowie, zanim zdołano ją oderwać, krzyknęła.

— W piętnastym roku życia umrzesz od ukłucia wrzecionem!

I w tej chwili, gdy to wyrzekła, uciekła tak nagle, iż nikt nie zdołał jej przytrzymać, by ukarać ją za przestrogę, w tak strasznych słowach rzuconą na niewinną główkę królewskiej córy.

Wtedy nad kolebką nachyliła się szósta z zaproszonych do zamku wróżek, która jeszcze nie wyrzekła swej przepowiedni — i zawołała.

— A kiedy się królewna ukłuje u wrzeciona, nie umrze, ale w sen ciężki zapadnie i spać będzie przez wiele lat nieprzerwanie.

Smutek zapanował w zamku.

Wierzono bowiem, że słowa wróżek muszą się spełnić.

Ale niebawem radowano się znowu prześliczną Różyczką, bo król, chcąc zapobiedz nieszczęściu swej najukochańszej córki, rozkazał w całym kraju spalić wszystkie wrzeciona i zabronił używania kołowrotków.

Więc uspokoili się wszyscy, iż odtąd nie grozi już nic złego królewnie, ponieważ zła wróżba nie będzie mogła się spełnić, skoro w niej wyraźnie było powiedziane, iż ukłu-

cie nastąpi nie przez co innego, lecz od wrzeciona, a tego już nigdzie nie będzie.

Tymczasem cudnej urody dzieweczka rosła zdrowo na pociechę rodziców i całego ludu, tak, że wreszcie wszyscy zapomnieli o owej złej wróżbie.

Kiedy piękna Różyczka skończyła lat piętnaście, właśnie w sam dzień jej urodzin, król, zaproszony przez innego króla, musiał z królową wyjechać.

— Różyczko — rzekł wtedy król do córki — zostaniesz sama w zamku, więc dopóki nie wrócimy, uważaj, żeby ci się nie stało co złego. Najlepiej pozostań w komnatach swoich i nie wychodź nigdzie! Dobrze, Różyczko?

— Dobrze, ojcze, jedźcie spokojnie, nic mi się nie stanie!—wesoło odpowiedziało dziewczę rodzicom.

Wreszcie król wyjechał z królową, a królewna została w domu sama tylko pod strażą służby. Więc biegała Różyczka do woli po wszystkich kątach zamku, zaglądając nawet do komnat, w których nigdy przedtem nie była.

W ten sposób znalazła się na jakichś nieznanych sobie schodach, które zawiodły ją na szczyt wieży, wysoko ponad zamkiem.

Tam zatrzymała się przed małemi drzwiami i ledwie dotknęła klamki, drzwi się otwo-

rzyły, a kiedy królewna próg przestąpiła, znalazła się w małej izdebce, w której jakaś stara kobieta przędła len na kołowrotku.

A była to dawna piastunka Różyczki.

Królewna przyskoczyła do niej wesoło.

— Dzień dobry. Jak się masz, Kunegundo! — zawołała, poczem spojrzawszy na nieznany jej przyrząd, tak szybko kręcący się, zapytała ciekawie.

— Kunegundo, co to za przyrząd?

— To jest kołowrotek!

— Jakież to zabawne! Jak się to ładnie kręci! A ty co przy tem robisz? — pytała dalej.

— Len przędę — odparła staruszka.

— To i ja spróbuję tak robić.

Lecz w tej samej chwili, gdy królewna dotknęła się wrzeciona, ukłuła się boleśnie, aż kilka dużych kropel krwi wytrysnęło z jej palca.

I spełniła się po piętnastu latach przepowiednia dwóch wróżek-czarodziejek. Królewna, ukłuwszy się w palec, z krzykiem upadła na łóżko i natychmiast zasnęła. A obok niej przy łóżku, jak w krześle siedziała, tak również zaraz w sen zapadła i staruszka niańka.

W tej właśnie chwili król powrócił na zamek z królową i na wstępie zaraz zapytał.

— A gdzie królewna Różyczka?

Lecz ledwie to wyrzekł, przymknął oczy mimowoli i zasnął, tak jak stał pośrodku zamkowej komnaty.

To samo stało się z królową, bo zaledwie zawołała:

— Gdzież nasza córka?—upadła i zasnęła.

A z niemi zasnął też zaraz dwór cały, i służba i wszyscy ludzie w zamku nagle posnęli.

A z ludźmi pospołu w sen twardy zapadły wszelakie zwierzęta wśród zamkowych murów i ptactwo i owady w ogrodzie. Posnęły wreszcie i drzewa i krzewy i kwiaty, wśród których wiatr przestał igrać listkami, jak gdyby i wietrzyk zasnął dokoła zaklętego zamku na górze.

Cisza zupełna, niczem nie przerwana, zaległa miejsca, w których dopiero co wrzało życie tak gwarne.

W kilka dni później pojawiła się na murach śpiącego zamku tarnina, pełna cierni dużych i ostrych, obsypana kwieciem. Niby powój lub dzikie wino, rosła dziwna tarnina od dołu do góry, pięła się na szczyty dachów i na wieże, wreszcie gęstą swą siecią pozamykała wszelkie wejścia. Nie było jednej szczeliny, przez którą możnaby się było dostać do zamku; wszędzie zarosła tarnina dziwnego rodzaju, jakiej nikt nie widział nigdy — i ostremi swemi cierniami broniła przystępu do uśpionego czarami zamczyska. Ciekawi ludzie z okolicy, zbliżywszy się do zamku, przekonywali się, że nie można już dostać się do jego wnętrza. Poznali więc, że zamek został zaczarowany.

Z początku mówiono o tem wiele, lecz w końcu zaprzestano wszelkich prób dostania się na górę.

Tak mijał rok po roku, wreszcie lat dziesiątki upływały bez zmiany. Wymarli ludzie, którzy pamiętali i znali mieszkańców tego zaklętego zamku, a w okolicach żyły już tylko dzieci i wnuki tych ludzi. Ojcowie synom, a matki córkom — opowiadali historję tych królów, którzy tam panowali, i los królewny Różyczki, wskazując zdaleka mur zamkowy na górze zarośnięty w około.

Wiadomość o tem rozeszła się w różne strony świata i możni panowie i książęta, zaciekawieni, przybywali w te strony. Każdy z nich chciał zbudzić z wiekowego snu piękną królewnę. Próbowali, lecz nie było takiego, którył by omal życiem nie przypłacił swych usiłowań, bo każdy, przedzierając się przez straszną tarninę, pokaleczony i do krwi kolcami podrapany, zaledwie życie ocalił, a niejeden zawisnął na ogromnych cierniach wysoko na murze, skąd nikt nawet nie mógł zabrać jego martwego ciała.

Tak w ciągu lat wielu zginęło straszną śmiercią kilkunastu młodzieńców.

Aż wreszcie pewnego razu przejeżdżał przez tę okolicę piękny królewicz z dalekich stron, który nie słyszał jeszcze o zaklętem zamczysku, ani o śpiącej Różyczce.

Dowiedział się o niej dopiero teraz z ust jakiegoś staruszka, u którego zatrzymał się na noc dla spoczynku w podróży. Zaraz też chciał dostać się do zaczarowanego zamku.

Nie pomogły prośby starca: niczem nieustraszony królewicz śmiało szedł w gęste zarośla cierniowej tarniny, kwitnącej biało i różowo. Poszedł i zniknął... Starzec stracił go z oczu... Stała się bowiem rzecz dziwna: tym razem przed królewiczem z dalekich stron świata same rozsuwały się gęste, mocne, kolczaste ściany tarniny, jakby same wpuszczały go do wnętrza.

Jednakowoż w tej samej chwili, gdy piękny młodzian znalazł się za niemi, zasuwały się za nim, zamykając mu powrotną drogę. On zaś, nie przestraszając się tem wcale, szedł dalej. Nie wiedział wcale, że tegoż dnia właśnie minęło sto lat od chwili, kiedy zasnęła królewna Różyczka, a z nią wszyscy w zamku.

Dziwny widok przedstawił się oczom królewicza. Na dziedzińcach, w krużgankach, na schodach i w komnatach zamkowych

napotykał mnóstwo ludzi, do dworu i do służby lub do straży zamkowej należących, którzy wyglądali niby trupy zdaleka; ale skoro się do nich zbliżał, przekonywał się, iż tylko śpią twardo, a każdy z nich, jak wówczas stał, siedział, czy był przy zajęciu jakiem lub przy jedzeniu — tak przed stu laty zasnął — i nie drgnąwszy nawet przez ten czas długi, w tej samej postawie pozostał aż do tej chwili.

Nakoniec, błądząc długo po zamku, wszedł królewicz do izby na wieży, gdzie na łóżku spała cudnej urody młodziutka dziewica.

Niezwykła piękność jej twarzy upewniła go, że to nie może być nikt inny, tylko owa zaczarowana królewna, o której mówił mu starzec.

Nachylił się nad jej twarzyczką różową i pod wiankiem złotych włosów złożył pocałunek na jej czole.

I w tejże chwili spełniła się wróżba czarodziejska: po stu latach przebudziła się królewna. Otworzyła oczy, spojrzała na pięknego królewicza i powstała.

— Jakże ja długo spałam! — rzekła. — A śniłam, śniłam ciągle, że przyjdzie do mnie piękny królewicz i zbudzi mnie z tego snu...

— Królewno! A czy ten królewicz we śnie był do mnie trochę podobny?

— Zupełnie! Takim go we śnie widziałam, jak ty wyglądasz, królewiczu!

— To dobrze, bardzo dobrze, piękna Różyczko! bardzo się z tego cieszę...

— A gdzież rodzice moi? Król, królowa? Co się z niemi stało?

— Śpią tam w zamku na dole. Przechodząc przez ich komnaty, widziałem wszystkich uśpionych.

— Więc i ojciec mój spał i matka także?

— Wszyscy śpią jeszcze.

— Prowadź mnie do nich, królewiczu!

Wziąwszy za rękę piękną Różyczkę, królewicz powiódł ją schodami do królewskich komnat zamkowych, gdzie właśnie król i królowa, zbudziwszy się w tej chwili, pytali głośno.

— Gdzie jest Różyczka? Gdzie nasza córka?

— Jestem, jestem, matko, ojcze! Drodzy moi, ukochani! Jestem przy was znowu! — wołała królewna, przyprowadzona przez królewicza, i padła uradowana w ramiona rodziców, którzy ją tulili z miłością.

A wtedy królewicz ukląkł przed rodzicami Różyczki i poprosił ich o rękę królewny.

— Dajemy ci ją najchętniej! — rzekli królestwo. — Tyś ją obudził ze snu ciężkiego, tobie się więc należy jej ręka! Bądźcie ze sobą szczęśliwi!

A wtedy obudzili się wszyscy mieszkańcy

zamku, a po nich zwierzęta domowe i ptactwo i owady w ogrodzie.

Kiedy zaś powiał wietrzyk, wstrząsając liśćmi, które na gałęziach wisiały nieruchomo przez wiek cały, opadła z murów tarnina. Jej ciernie straciły nagle moc swoją, puszczając teraz swobodnie do zamku tłumy ludu z okolicy na wielkie uroczystości, jakie królestwo wyprawiali z powodu wesela królewny Różyczki z pięknym królewiczem.

KOŻUSZKI Z PAJĘCZYNY.

Była sobie pewna kobieta bardzo uboga, która nic nie miała swego prócz kilkorga drobnych dziatek. Ani chaty, ani pola nie miała, gdzieby mogła żyć spokojnie przy pracy, ani dachu, aby nocą przespać się z dziećmi. Codzień u drzwi innej chałupy musiała prosić o kęs chleba i odrobinę mleka, chodząc od wsi do wsi. Na noc biedna, bezdomna kobiecina kryła się w lesie pod drzewa.

Nie było na świecie uboższych ludzi od niej i jej dziatek. Że zaś nieszczęśliwa kobieta żyła przed bardzo wielu laty, kiedy jeszcze nie znano litości i miłosierdzia, więc często psami odganiano ją ode drzwi, naigrawając się z nieszczęścia głodnych nędzarzy.

— Idź precz, babo! — wołano już zdaleka, gdy się zbliżała z dziećmi.

Nie widząc innej rady, biedna kobieta przestała nakoniec chodzić po wsiach między ludźmi.

Zatrzymała się w lesie, gdzie podczas deszczu lub burzy oraz nocą kryła się pod drzewa na murawie, a dziatki i siebie żywiła korzonkami leśnemi, których znalazła mnóstwo smacznych i posilnych, a o których inni ludzie nic nie wiedzieli.

Póki było lato, z łatwością przyszło biednym przetrwać takie życie wśród boru.

Aliści nadeszła jesień chłodna i słotna.

Lada dzień nastaną mrozy i spadną śniegi. Co wtedy pocznie kobieta z dziećmi?

A dziatki nie okryte, dziś już drżą z zimna pod gołem niebem.

Więc smutna wyszła z lasu i pośrodku pola padła na ściernisku na kolana. Zalewając się gorzkiemi łzami, modliła się gorąco, prosząc Boga, by jej dał jeszcze trochę lata.

I stało się, że ledwie z ziemi powstała, słonko wyjrzało z poza chmur i zaczęło przypiekać gorąco.

A w tejże samej chwili ponad polem zaczęła snuć się biała przędza pajęcza. Dokoła kobiety powiewały długie, grube nitki pajęczyny, unoszącej się w ciepłem powietrzu.

Najwyraźniej Pan Bóg dał drugie lato.

Nazbierała kobieta moc wielką tej przędzy

i zaczęła robić z niej białe kożuszki dla swych dziatek. Spostrzegła zaraz, że było im w nich cieplej, tak ciepło jak w futrach. Można było w nich chodzić nawet podczas śnieżycy i w najsilniejsze mrozy.

Po zrobieniu kożuszków pozostało kobiecie z tej przędzy pajęczej jeszcze tyle, że z niej utkała na sprzedaż dużo kożuszków białych a ciepłych i wyniosła na targ.

Spostrzegli to ludzie, a ponieważ kożuszki im się podobały, zaczęli więc je kupować, płacili jej też za nie tak, że się kobieta zdziwiła.

Już się teraz nie bała biedy, bo z pomocą Bożą znalazła sposób do życia i mogła już wyżywić siebie i swoje dzieci, a nawet wspomagała jeszcze innych ubogich.

LEŚNA PANI.

Pewnego razu szedł dziad przez las głęboki i ciemny. Wicher wył głośniej niż wilki. Dziada straszyły jęki drzew skrzypiących i szeleszczących suchem liściem pożółkłem.

Zimno było, a chociaż minęło dopiero południe, nie można było dojrzeć nawet śladu dziennego światła, tak było niebo zachmurzone groźnie ponad borem. Górą pędziły jakieś szare bałwany, przewalając się jeden przez drugi; zmieszały się one z mgłami, które wisiały niżej, poszarpane drzew konarami, i zasłoniły sobą widok na słońce. Może go nie było dzisiaj — tam za mgieł i chmur powodzią?...

Macając kijem drogę przed sobą, szedł powoli dziad leśną drożyną, bo lubo chciałby co prędzej wydobyć się z owej kniei, to sił nie miał dosyć, żeby kroku przyśpieszyć.

Wtem na dobitek złego zerwała się ulewa rzęsista. Przez swe łachmany, jak przez sitowie, biedak przemókł do kości.

Co tu począć w takiej chwili w boru? Przytuliłby się chętnie do jakiego drzewa, kryjąc się przed deszczem pod osłoną grubych konarów, aliści gotowa by go wśród lasu zaskoczyć jeszcze noc ciemna, ciemniejsza od ponurego dnia jesieni; więc szczękając zębami z zimna i wilgoci, wyciągnął, jak mógł, stare nogi, byle znaleźć się jaknajrychlej we wsi, czy w czystem polu i nie nocować w lesie, gdzie straszy.

Nasłuchał się dziad nieraz tylu opowieści ludzkich o duchach niebezpiecznych, które niby napastują nocą zbłąkanych w lesie, wiedział o «nieczystym», który potrafi pięć dni i pięć nocy wodzić człowieka po malutkim skrawku lasu, zanim go puści wolno o sto kroków od sioła — pocóż tedy dziadowi na starość kumać się z lichem?...

Tak myśląc, szedł dalej w trwodze wielkiej.

Nie wiedział nawet, kiedy usta zaczęły szeptać pacierze... atoli tym razem nie z przyzwyczajenia samego: im straszniej stawało mu się w drodze, tem goręcej dziad modlił się.

Wreszcie począł śpiewać: «Pod Twoją obronę»...

Nagle przystanął ze zdumienia i ręka opadła mu z torby żebraczej, którą miał zwyczaj przyciskać do siebie z obawy, by mu kto czego z niej nie wyciągnął, acz dzisiaj nic w niej nie było. Przetarł oczy mokremi palcami i patrzał przed siebie uważnie.

Nie, nie myli się. To kobieta jakaś zbliża się ku niemu, wysoka, jak grabina, a jak topola wysmukła. Podchodzi coraz bliżej, przypatrując mu się ogromnemi oczami.

Dziad zadrżał i spojrzał z przestrachem na nią. Ale o dziwo! źrenice zielone nie przerażały swojem spojrzeniem i twarz jej łagodna budziła zaufanie. Stary też uspokoił się nieco, mimo że niedowierzał, by miał do czynienia z jaką «siłą czystą».

Wszakże ta kobieta miała ogromną suknię z samych suchych gałązek wierzbowych, mogła tedy w najlepszym razie — jeżeli należała do rodu ludzkiego — być chyba czarownicą. Zresztą kroki stawiała tak duże, jakich człowiek robić nie potrafi. Na nogach miała buty szerokie i wysokie, uszyte, jak się zdawało, z samych zeschłych liści. Dziad wszelako zauważył, że jeden but jest cały żółty, drugi zaś prawie poczerniały.

Uspokojony dobrotliwym uśmiechem tej dziwacznej istoty, o twarzy zupełnie kobiecej, nie uciekał przed nią, lecz pozwolił

jej nawet wziąć się za jedną rękę, gdy w drugiej tymczasem zaciskał mocno kij swój.

Nie mówiła nic do niego, szeleszcząc jeno swoją postacią w ten sposób, jak szumią liście drzew jesienią. Milcząc, pociągnęła dziada za sobą.

Stary począł teraz dopiero trząść się na dobre.

— Oho — myślał sobie — licho, nic innego, tylko licho! Już zaczyna mnie wodzić po lesie. Ładna historja, to się pewnie nie skończy aż do pierwszego piania kurów przed świtem.

Nie widział jednak na to żadnego sposobu; dał więc za wygranę, oczekując, na czem to się skończy.

A zielonooka istota wiodła go tymczasem za rękę spokojnie przez jakieś ścieżynki tajemne, których dziad z latarnią nie byłby się doszukał w gęstym borze. Dziwna rzecz jednak, bo ani końce suchych gałęzi nie uderzały ich, ani krzaki kolczaste nie raniły, chociaż przeciskali się między niemi.

Przeprawa ta trwała zaledwie chwilę i nawet dziadkowi mocno strapionemu nie wydawała się długą w porównaniu z tem, co go czekać miało według jego własnej wyobraźni.

Naraz zatrzymali się przed jakąś chatą — nie chatą, a gdy w mgnieniu oka jej próg przekroczyli, znaleźli się w ciepłej, suchej izbie.

Dziad nie miał czasu zastanowić się nad tem, co zaszło i co ujrzał przed sobą. W jednej chwili bowiem opadły z niego szmaty przemokłe do nitki, a jakaś ręka niewidzialna przyodziała go natomiast w łachmany, akurat takie samiuteńkie, jakie miał na sobie przed chwilą, lecz suche, jak ławka, na której usiadł przed kominkiem, gdzie palił się dobry ogień.

Zrobiło mu się cieplej niż latem, gdy się na słonku wygrzewał.

Nie widział, skąd i kiedy znalazła się przed nim duża miska kartofli gorących i spory garnek mleka.

Dziadek jadł smacznie, aż sobie język poparzył, a kiedy pożywił się już do syta i rozgrzał przy ogniu, zobaczył przy sobie dwa duże bochenki chleba na ławie; schował je więc do torby i rozejrzał się po izbie; w niej wszakże nie było nikogo, ani nawet owej osoby dziwacznej w sukni z suchych liści.

Wreszcie żebrak położył się na ławie w kącie i zasnął.

Przebudził się po bardzo długim czasie zupełnie wypoczęty i wyjrzał oknem.

Nigdzie nie było już tej istoty, która wczoraj towarzyszyła mu w drodze. Słońce świeciło, las przesychał.

Więc wyszedł przed chatę.

Wtedy naraz znowu stanęła przy nim ta, która go tu przywiodła wśród deszczu. Znów ujęła go za rękę, jak wczoraj — i poprowadziła wąziutkiemi ścieżkami na kraniec boru, poczem zniknęła — jakby duch jaki.

Dziad, zdziwiony niezmiernie, znalazłszy się na znajomej drodze, szybko poszedł ku wsi.

I przyszedłszy, rozpowiedział gromadzie o wszystkiem, co go w boru spotkało dziwnego.

— Cóżby to być mogło? — pytano się ciekawie.

— Czy ja wiem?!

A wtedy pewien stary chłop odezwał się na to.

— Z tego, co wy dziadku, mówicie, widzę, że to nic innego nie będzie, jeno Salomejka.

— Salomejka?

— A jakże. Powiadają ludzie, że w lesie niekiedy zbłąkanych ratuje taka leśna pani i to w taki sam sposób właśnie, w jaki was, dziadku, wyratowała. A nazywa się Salomejka, bo ją do lasu posyła święta Salomea, która opiekuje się biednemi i zbłąkanemi.

— Być może! być może! — rzekł na to stary — ale jaka ona dobra, jak łagodnie patrzy na człowieka! Z początku jej się bałem; ale potem już spokojnie zdałem się na jej łaskę, bo tak jakoś patrzyła dobrotliwie. Dziwna osoba! czyni dobrze, a nic nie mówi.

I modląc się, dziad poszedł dalej z torbą w świat.

CZTEREJ MUZYKANCI.

Pewien młynarz miał starego osła, który przez długie lata nosił ciężkie worki z młyna do miasta. Zestarzawszy się, osieł stracił siły i stał się prawie niezdolny do pracy. Z tego powodu młynarz postanowił pozbyć się swego starego pracownika.

Pewnego razu, gdy rozmawiał o tem ze swoją żoną, osieł podsłuchał ich.

— Dobrze — rzekł do siebie — że przynajmniej wiem o tem. Nie będę na to czekał, aż się mój pan mnie pozbędzie. Sam sobie pójdę od niego!

Wyszedłszy przed świtem z młyna, gdy pan jego spał jeszcze, ruszył sam w stronę poblizkiego miasta, tylko inną, niż zwykle, drogą.

— Zamiast dźwigać worki z mąką — powiedział sobie kłapouch — będę w mieście muzykantem.

Gdy tak szedł, spotkał w drodze jakiegoś psa. Biedak był stary i ledwo lazł, skomląc głośno.

Kłapouch zbliżył się do niego.

— Jak się masz, przyjacielu! — rzekł osieł do psa. — Czego tak narzekasz? Co ci się stało?

— Jakże nie mam skomleć, skoro taka moja dola smutna! Ot, straciłem na starość i węch i słuch i wzrok, więc mój pan powiada, że nie ma już ze mnie pożytku i przestałem być zdatny do polowania.

— Ma słuszność — dodał osieł — bo czy ty wyglądasz dzisiaj na psa myśliwskiego, mój ty stary towarzyszu?

— Dobrze ci mówić, ale to nie powód jeszcze, żeby mnie chcieć zabić.

— Twój pan, powiadasz, chciał cię zabić?

— Nie inaczej; tylko ja nie byłem głupi czekać kulki i zabrałem się z domu.

— Bardzo mądrze zrobiłeś.

— Ba, ale jakim sposobem zarobię sobie teraz na chleb?

— Zrób to, co ja.

— Cóż takiego?

— Spotkała mnie ze strony mego pana podobna niewdzięczność, jak i ciebie, więc wybrałem się do miasta, gdzie zostanę muzykantem. Radzę ci zrobić tak samo, wszak głos masz jeszcze niezły.

— To prawda, więc możebyśmy tak we dwójkę poszli do miasta, mój kłapouchu?

— I owszem, chodźmy.

Jak rzekli, zrobili.

Niebawem spotkali starego kota, który idąc drogą, przeraźliwie miauczał.

— Co ci się stało, mój kocie? — pytał go osieł.

— Uciekłem od mojej pani, a teraz narzekam, bo nie wiem, co będę dzisiaj jadł. Kto mi da mleka?

— A dlaczegóż to opuściłeś swoją panią?

— Dlaczego, pytacie? — Bo chciała mnie otruć.

— E... gadasz kocie!

— Jak myszy kocham, tak prawda!

— Skąd wiesz o tem?

— Słyszałem, jak wczoraj mówiła pani do swej córki:

«Trzeba będzie temu kotowi dać trucizny, to się go pozbędziemy».

— Toś ty biedny, a za co chciała cię otruć?

— Mówiła, że nie ma ze mnie już pożytku w domu, bo jeno mleko jej wypijam i na piecu wysypiam się całemi dniami i nocami.

— I czy tak bywało naprawdę?

— Jakże mogło być inaczej! Było mi dobrze, jeść mi dawano, więc na starość nie

chciało mi się już łowić w domu myszy... I za to chciano mnie truć! Czy to sprawiedliwie?

— Niby coś podobnego do mojej sprawy — szepnął osieł — tylko, że ja pracowałem o ile sił stało.

— I ja także — rzekł pies — ale skoro jesteś nieszczęśliwy, więc chodź z nami, będziemy wspólnie zarabiali, aby nie zginąć na starość.

— Dobrze — rzekł kot. — Podajmy więc sobie ręce, moi przyjaciele, i chodźmy razem! — i wyciągnąwszy łapkę, trącił się nią z łapą psa i dotknął nogi osła.

Ten zaś powiedział.

— Ja z psem we dwójkę idziemy do miasta, gdzie mamy zamiar zostać muzykantami. Ja będę grał na basetli, a pies, mój towarzysz, na trąbie. Jeżelibyś, kocie, poszedł z nami, pomożesz nam w muzyce.

— I owszem, mogę grać na flecie! — zawołał kot. — Wszakże nieraz dawałem po nocach koncerty na dachach, więc muzyka nie będzie dla mnie nowością! A więc chodźmy.

Kiedy tak staruszkowie wędrowali już we trójkę do miasta, usłyszeli zdaleka głośny krzyk. To kogut siedział na płocie i darł się tak w niebogłosy, jak gdyby go już zarzynano.

— A bądźże cicho, czerwony grzebieniu! Czego się tak drzesz?—spytał osieł.

— Czy cię ze skóry kto obdziera, że tak wrzeszczysz? — dodał pies.

Ale kogut wrzeszczał dalej.

Wtedy kot, jak gdyby chciał go zagłuszyć, zaczął głośno miauczyć. Kogut umilkł.

— No, gadaj teraz, co ci się stało — rzekł kot.

— Muszę krzyczeć i będę—wrzeszczał jeszcze głośniej — bo się dowiedziałem, że za chwilę kucharka ma mnie zarznąć, żeby mnie na jutro ugotować w rosole dla gości. Taka to wdzięczność mojej pani za to, że tyle miesięcy przepowiadałem jej pogodę, że codzień rano dom cały budziłem!

I kogut na nowo zaczął piać głośno.

— Nie psuj sobie głosu — rzekł mu na to osieł — bo ci się przyda na coś lepszego. Uciekaj od twojej kucharki i chodź z nami, pomożesz nam w muzyce, a będzie ci z pewnością lepiej w naszem towarzystwie, niż w rosole dla gości. Uważasz: ja sam gram na basetli, pies na trąbie, kot na flecie, ty zaś możesz nam wtórować, bo bardzo pięknie śpiewasz.

Zgodził się na to kogut jak najchętniej i nie wiele się nad tem namyślając, zeskoczył z płotu, by z trzema muzykantami podążyć w świat i być jak najdalej od noża kucharki.

Poszło więc wszystko czworo razem, kogut na przedzie, za nim pies z kotem, a na końcu szedł stary osieł.

Wieczorem czterej muzykanci zatrzymali się na noc w lesie, skąd już niezbyt daleko było do miasta. Osieł z psem położyli się w przykładnej zgodzie pod dużem drzewem; na drzewo wlazł kot, żeby się przespać na gałęzi; natomiast kogut wyszukał sobie bezpieczne miejsce aż na szczycie drzewa.

Ledwie się tam dostał, zaczął piać po swojemu i obudził towarzyszów, którzy już zasnęli.

— Co się tam stało? — zapytali wszyscy chórem.

— Widzę blizko światło—wołał ku nim kogut z góry.

— Co ty pleciesz, skądby się wzięło światło w lesie?—odezwał się pies, zły, że go rozbudzono.

Ale kot, który wdrapał się na wierzchołek drzewa, żeby się przekonać, czy kogut mówił prawdę, potwierdził jego spostrzeżenie.

— Jest naprawdę jakiś domek wśród lasu — zawołał.

— Więc zabierajmy się stąd zaraz — rzekł osieł poważnie.

— Pójdziemy do tego domku—powiedział

pies, łykając ślinkę na myśl o kilku kosteczkach do obgryzienia, które powinnyby się tam znaleźć dla niego.

Kiedy idąc w ślad migocących zdaleka światełek, zauważyli, że znajdują się już bardzo blizko jasno oświetlonych okien, napomniał jeden drugiego, iż muszą się teraz zachowywać spokojnie, by nie zdradzić swej obecności. Stanęli wreszcie przed domkiem.

A było to mieszkanie zbójców.

Osieł, jako najwyższy, zajrzał w okno.

— I cóż tam widzisz? — spytali go towarzysze.

— Widzę stół ładnie nakryty, przy którym siedzą zbójcy. Na stole jest dużo dobrego jedzenia i napoju. Widocznie zbójcom jest tu bardzo wygodnie.

— O, toby się właśnie dla nas przydało! — zawołali wszyscy chórem i zaczęli przemyśliwać, jakimby sposobem skorzystać z tego. — Nakoniec uradzili, że najlepiej będzie wypłoszyć zbójców z domu, a dobrać się do jadła na stole.

Okno było właśnie otwarte, więc osieł, stanąwszy na tylnych nogach, oparł się przedniemi o ramę okna; pies wskoczył mu na grzbiet; na psa wdrapał się kot; na samą górę wleciał kogut i usiadł kotowi na karku. Na umówiony znak, wszyscy rozpoczęli swą muzykę: osieł zaczął wydawać ryki podobne

do głosu basetli, pies szczekał grubym głosem, jakby grał na trąbie, kot miauczał cienko niby flet, a kogut piał mocno, jak gdyby śpiewał jaką piękną arję, przyczem każdy użył całej siły głosu. Od takiej muzyki można było ogłuchnąć.

Zbójcy, przestraszeni tym okropnym wrzaskiem, obejrzeli się, a zobaczywszy, że coś okropnego zagląda do nich przez okno, porwali się z przestrachem i zostawiwszy wszystko, w jednej chwili uciekli z domu w las, przekonani, że jakiś duch wpada do ich mieszkania.

Wtedy nasi czterej muzykanci roześmieli się zadowoleni, że ich muzyka sprawiła takie wrażenie, weszli przez okno do izby, poczem rozgościli się w zbójeckim domu, jak u siebie. Osieł, przywdziawszy szlafrok, w szafie znaleziony, zasiadł w fotelu do stołu, a gdy sobie już podjadł i napił się do woli, zapalił fajkę na długim cybuchu i z okularami na nosie zaczął czytać gazetę. Pies i kot podjedli także do syta, chodząc bez ceremonji po stole. Kogut zaś, zaspokoiwszy głód i pragnienie, udał się pierwszy na spoczynek, znalazłszy sobie na szafie miejsce do spania.

Wtem drzwi skrzypnęły. To jeden ze zbójców, przysłany na zwiady przez towarzyszów, wszedł zobaczyć, czy te duchy już

opuściły ich dom. Ale nowi gospodarze domku w lesie natychmiast porwali się do muzyki i przywitali nieproszonego gościa — jak który umiał. Więc zbój podrapany przez kota, pokąsany przez psa i kopnięty na dobitek przez osła, uciekł do swych druhów, cały drżący ze strachu, mówiąc im.

— Niech nikt z was tam nie wraca! I ja już nie pójdę! Siedzi tam jakaś straszna czarownica, która mi w oczy napluła i twarz podrapała długiemi palcami, jakby pazurami. A u drzwi, gdy uciekałem, widocznie jakiś stróż skaleczył mnie ostrym nożem w nogę, drugi zaś ogromny, kopnął mnie z całej siły. I jeszcze na dachu siedzi ktoś, zapewne sędzia, który krzyczał za mną, zdaje mi się tak ławać mi tutaj tego złodzieja, zbója! ja go nauczę!

Usłyszawszy to, zbójcy poszli w inną okolicę, a w ich domu do dziś dnia żyją sobie spokojnie czterej starzy muzykanci.

KONIEC.

SPIS RZECZY.

EDMIU GÓRAMI